Padliszki,

232.

Hrabi Józefowi Lub
skiemu na pamiątkę
przyjaźni
Autor

PISMA

Franciszka Morawskiego.

Niech każdy, w jakimkolwiek pracując zakresie
Do wspolnego ogniska swą iskrę przyniesie.
Z improwizacyi Niemcewicza.

TOM PIERWSZY.

(POEZYE.)

W WROCŁAWIU,
NAKŁADEM AUTORA.
1841.

Imprimerie de M. Friedlænder à Breslau.

PRZEDMOWA.

Korzyść pieniężną, jakaby z drukowania pism moich okazać się mogła, przeznaczam na utworzenie funduszu z ktoregoby coroczny zasiłek czerpać mogli ci wieśniacy mojéj włości, którym los niedozwolił posiadania własności gruntowéj. Po skończeniu druku pism moich, ułożę plan w téj mierze potrzebny, a gdybym aż do téj chwili dni moich nie dociągnął

przekazuję dopełnienie tego memu synowi. Pewny jestem iż zamiar ten, jak wszystko co jest lepszém, przylgnie do jego szlachetnéj duszy, i że z całą miłością syna pomysł ojcowski do serca swego przytuli.

Spis przedmiotów.

WIĘZIEN CZYLLONU.

Przekład z Bayrona.

Chillon! thy prison is a holy place.

MOJEJ DOBREJ MARYNI.

Jako odpowiedni jej czułości

i

silnej wierze

wiersz ten

przypisuję. —

WIĘZIEN CZYLLONU.

I.

Włos mój osiwiał — lecz nie wiek zgrzybiały,
Ni ten grom nagłej trwogi, przerażenia,
Co przez noc jedną ludzi w starców zmienia
        Taką mu białość nadały.
Schylony jestem — lecz nie prace, znoje,
Podła to gnuśność zgięła postać moję,
Strasznym był los mój — dźwigałem kajdany,
Zostałem z ziemi, powietrza wygnany
        W czarną wtrącony otchłanią!
Lecz że to było w wiary méj obronie
Chętniem do więzów moje podał dłonie,
        Był bym nawet umarł za nią.
Ojciec za wiary téj cnotliwy opór
Poddał swą głowę pod katowski topór;
A jak wspólników téj tak świętej winy,
Wszystkie do więzień powtrącano syny. —

Z siedmiu nas — jeden zostałem na świecie.
Ojciec był w leciech, bracia w wieku kwiecie;
Wszyscy tem w zgonie czem i w życiu byli,
Wrogów się swoich wściekłością chlubili.
Jeden w płomieniach — dwóch na polu sławy
Krew swą przelało dla tej świętej sprawy,
Mężnie jak ojciec za Boga umarli,
Którego nasi kaci się wyparli.
Trzech nas wrzucono w loch czarny, straszliwy,
Z których sam jeden pozostałem żywy.

II.

Straszne są głębie Czyllonu więzienia,
Siedm kolumn czarne wspiera ich sklepienia;
Gockich tych słupów grube, śniade mury
Smutnie oświeca jakiś brzask ponury.
Ciągle tam bowiem przez szczelinę ściany,

Wsuwa się słońca promyk zabłąkany,
Promyk ten jakieś zmarłe światło ciska
Na owe massy jaskini sromotnej,
I jakby drżący meteor bagniska
Snuje się, czołga po ziemi wilgotnej.
W każdą tam z kolumn jest pierścień wpuszczony,
W każdym pierścieniu łańcuch zawieszony;
Zrzący ten kruszec jakby rak się wtacza,
I takie ślady na ciele wytłacza,
Że póty na niem zostaną niezmienne,
Póki mi świecić będzie światło dzienne,
Tak nowe dla mnie, a tak przykre oku,
Już odwykłemu od słońca widoku.
Ileżkroć weszło przez te długie lata?
Nie wiem — gdyż odtąd już liczyć przestałem,
Odtąd — gdym stracił ostatniego brata,
I sam nad trupem jego żywy stałem.

III.

Do trzech nas słupów przykuto sromotnie;
Byliśmy razem — a każdy samotnie.
Żaden z nas nie mógł naprzód ruszyć krokiem,
Ni bratnich twarzy cieszyć się widokiem,
Martwy blask bowiem, co je opromieniał,
W jakieś je dziwne, obce twarze zmieniał;
Tak będąc razem — przecież rozłączeni
W oddzielnych więzach, lecz męką spojeni,
Tęśmy przynajmniej jeszcze ulgę mieli,
Żeśmy się wzajem mówiących słyszeli,
I choć w tym słońca i powietrza głodzie,
Jeszcześmy mogli, ku wspolnej osłodzie,
Jakąś nadziei nowej roić marę,
Jakieś legendy opowiadać stare,
Lub o rycerzach dawnych spiewać sobie —
Lecz i to w krótkiej obmierżło nam dobie.
Głos się nasz zmienił w jakiś ton grobowy,
Głuchy i ciężki jak echo więzienia;
Zgasła już była z dźwięku naszej mówy,

Pełność i wolność dawniejszego brzmienia;
Zmiana ta może urojeniem była,
Przecież srogością prawdy mię dręczyła.

IV.

Najstarszym będąc między braćmi memi,
W każdej smutniejszej cieszyłem ich chwili;
Z tkliwą ja troską czuwałem nad niemi,
Ale i oni toż samo czynili.
Ostatni — oczu błękitnych młodzieniec,
I ztąd najdroższy ojca ulubieniec,
Że wdziękiem wzroku podobny był matce;
On to najbardziej serce mi rozdzierał,
Bo któżby nie był z żałości umierał,
Taką ptaszynę w takiej widząc klatce!
Pięknym był jak dzień w całym swym uroku,
Gdy dzień tak piękny memu bywał oku,
Jak orlikowi, który w niebo wzlata;

Pięknym był jak dzień polarnego lata,
Tam gdzie ta pora w całym swym przebiegu,
Nie zna wieczoru — pora ciągło-dzienna
Tak swietno-długa, słoneczna — bezsenna,
Dziecię światłości strojne szatą śniegu!
Tak miłym, czystym jaśniał on promieniem
Nigdy wesołej myśli nie zamraczał,
Nad cudzem tylko płakał on cierpieniem,
I w ów czas całe zdroje łez wytaczał,
Zwłaszcza gdy nie mógł dary wesprzeć swemi,
Tak mu nieznośnych tylu nędz tej ziemi.

V.

Drugi był równie czuły i szlachetny,
Lecz bardziej męzkich — wojennych przymiotów;
A taką siłą i odwagą świetny,
Że z całym światem byłby walczyć gotów.

Byłby on chętnie zginął z mieczem w ręku,
Lecz tej powolnej nie mógł znieść katuszy;
Więdniał na odgłos kajdan swoich szczęku,
I coraz bardziej upadał na duszy.
Nie mniej i moja słabła już wytrwałość,
Zawszem go przecież w nową zbroił stałość,
By z tylu drogich, rodzinnych pamiątek
Ocalić jescze ten tak święty szczątek.
Szczęściem dlań niegdyś były w górach łowy,
Życiem, rozkoszą — gonić wilka, łanią.
Czyllon dla niego był piekieł otchłanią,
A z wszystkich nieszczęść najsroższem — okowy.

VI.

Przy samym murze Czyllonu leżąca
Woda Lemanu, w głębi stóp tysiąca
Sciera się, tłucze massy ogromnemi,
I śnieżno biały gmach okrąża niemi.

W podwojnem muru i wody więzieniu,
Jak w żywym grobie leży tam skazany,
A nad nim w górze po drzącem sklepieniu,
Groźne jeziora toczą się bałwany. —
Dzień i noc z głuchym warząc się łoskotem,
Z strasznym nad nami rozbijały grzmotem,
A kiedy nieraz szturmujące w chmurę
Wyły pod niebem wichry rozhukane,
Czułem jak bałwan podrzucony w górę,
Zimną przez kratę na mnie ciskał pianę.
Trzęsła się skała, silnym bita wałem,
Czułem jéj drzenie — sam przecież nie drzałem;
Za szczęście bowiem byłbym śmierć poczytał,
I jak wybawcę mego z łzami witał.

VII.

Brat mój, jak rzekłem, z tęsknoty usychał,
Słabła nakoniec duszy jego siła;

Wszelką on żywność od siebie odpychał,
Lecz nie dla tego, że zbyt grubą była;
Twarde, łowieckie, lubiący wyprawy,
Zdawna do wszelkiéj przywykliśmy strawy.
Na miejscu mleka z kóz Alpejskich doju,
Zgniłąśmy wodę mieli do napoju;
Chleb zaś był takim, jak go z lat tysiąca
Ciągle oblewa więźniów łza gorąca,
Odtąd gdy człowiek pierwsze ukuł pęta,
Bliźnich jak dzikie powięził zwierzęta.
Lecz nie to serce jego truło skrycie,
Nie to mu z ciała wytrawiało życie;
Taką mu bowiem nieba duszę wlały,
Że i w książęcych *byłby* usechł murach,
Gdyby z nich nie mógł wybiegać na skały,
Błąkać się wolny i oddychać w górach.
Lecz na cóż straszne odwlekać wyznanie?
Umarł niestety! — a jam nie był w stanie
Bladej, schylonej podeprzeć mu skroni,
Ani stygnącej jego ścisnąć dłoni.
Próżnom wściekłością rozpaczy miotany,
Rzucał się naprzód — szarpał, gryzł kajdany —
Umarł! — i przyśli — i zdjęli okowy
I wykopali dół ciemny, grobowy,

W lochu naszego martwej — zimnej ziemi!
Prosiłem — z łzami błagałem rzewnemi,
Aby gdzieś indziej złożyli to ciało,
W miejscu, któreby słońce oświecało —
Dziwne marzenie! zbyt śmieszne i małe!
Ale nie mógłem wyobrazić sobie,
By wolne serce, nawet już zmartwiałe,
Miało bez cierpień w takim leżeć grobie.
Mógłem był milczeć, bo cóż mi odrzekli?
Zimno się smiali — i w dół go zawlekli.
Znikał z mych oczu ziemią pokrywany,
Ziemią beztrawną okropnej pieczary;
Próżne mu na grób zwieszono kajdany,
Właściwy pomnik podobnej ofiary!

VIII.

Lecz i ów kwiatek tak wdzięczny, nadobny,
I już tak drogi w pierwszy życia ranek,
On, matce naszej tak mile podobny,
Braci i całej rodziny kochanek;
On, ojca swego najdroższe marzenie,
I dla któregom jeszcze żyć zażądał,
Na to, bym jego łagodził cierpienie,
A kiedyś — może — wolnym go oglądał;
On, co tak silny, czy wiarą natchnięty,
Tak długo znosił srogość swojéj doli;
I on nakoniec jakby kwiat podcięty
Więdniał, usychał i *ginął powoli.*
Ach! jakąkolwiek kto śmiercią umiera,
Strasznie jest patrzeć jak z ludzkiego ciała
Zwolna, boleśnie dusza się wydziera;
Widziałem jak się razem ze krwią lała —
Widziałem jak się mocując z bałwanem,
W szale rozpaczy walczyła z orkanem —
Widziałem zbrodnią na łożu śmiertelnem,
Jak bladła, drżała przed widmem piekielnem;
Straszne to śmierci — ta zaś cicha, rzewna,
Lecz tak powolna — i tak smutnie-pewna,

Więdniał tak lubą łagodnością tchnący,
Tak mile smutny, tak cicho gasnący,
Bez łzy, a przecież tak czuły i tkliwy
I o mój tylko przyszły los troskliwy.
Kwiat mu się życia na licach rozwijał,
Jakim się zwykle młoda czerstwość wdzięczy,
Szyderstwo śmierci! — tak on gasł i mijał
Jak nikły promień bledniejącej tęczy;
Oko tak dziwnym blaskiem mu jaśniało,
Że i więzienie widniejszem się zdało;
A przecież żaden żal, ni jęk bolesny,
Żadne szemranie na ten zgon przedwczesny —
Wspominał przeszłość — *nadzieją* pocieszał,
Lecz na to tylko, by ją wemnie wskrzeszał,
Milczałem bowiem myśląc o mym losie,
O tym ostatnim i najsroższym ciosie!
I w krotce zaczął tłumić swe westchnienia,
Ostatnie schnącej piersi wysilenia,
I oddech jego coraz rzadszym bywał,
I coraz ciszéj, ciszéj się odzywał;
Wytężam ucho — ale nadaremnie,
Wołam na niego — przestrach dzieczał wemnie,
Z dawnam ja, zdawna śmierć jego przezierał,

Lecz znieść nie mógłem, aby już umierał.
Krzyczę — i słuchem w straszną sięgam ciszę....
I zdaje mi się, że głos jego słyszę;
Jednym mym rzutem więzy się rozdarły,
Biegnę ku niemu, przybiegam — umarły!
Sam więc zostałem — sam w tym lochu żyłem,
Sam to powietrze stęchłe, strute piłem.
Drogie, najdroższe ogniwo żyjące,
Co mi zostało jeszcze ostatecznie,
Wiążące z ludźmi, z wiecznością dzielące,
W tej strasznej chwili zerwało się wiecznie.
Stałem pomiędzy braćmi umarłemi,
Jeden pod ziemią — a drugi na ziemi. —
Wziąłem go za *dłoń* — w *lód* się obróciła,
Niestety! moja równie zimną była.
Wpadłem w stan jakiś martwości i wrycia,
Czucie mi tylko pozostało życia,
Wściekłe uczucie, które w sercach ludzi
Strat ich, już wiecznych, straszna pewność budzi.
Chciałem umierać, a nie mogłem przecie,
Nie wiem dla czego, gdyż wszystko już w świecie,
Wszystkom utracił — lecz wiara została
I ta na życie targać się nie dała.

IX

Nie jestem w stanie, i nigdy nie byłem,
Okryślić co się w ówczas działo zemną;
Uczucie światła, powietrza straciłem,
Ciemność mi nawet niedość była ciemną,
Z zamarłem sercem, martwy jak słup stałem,
Bez czucia — myśli — kamień wśród kamieni;
Tyle ja tylko o sobie wiedziałem,
Jak skała, co się chmurą mgły ocieni.
Wszystko tak było ciemne — martwe — śniade,
Ni to blask dzienny — ni nocna pomroka,
Ni nawet lochu mego swiatło blade,
Tak nienawistne dla więzionych oka;
Lecz jakaś przestrzeń wymarłej pustości,
Jakaś zastałość — jakaś wrytość w czczości,
Jakiś świat bez gwiazd — ziemi — czasu — zmiany,
Bez cnót — bez zbrodni — świat ciszą zalany,
Tchnienie zastygłe, które już nie żyło,
A przecież jeszcze i śmiercią nie było,
Jakieś stężałej gnuśności przestworze,
Nieme — bezkresne — i umarłe morze.

X.

Nagłem się z mego snu myśli przecucił;
Ptaszek wśród mego zaśpiewał więzienia,
I znowu ucichł i znowu zanucił,
Słodkie, czarowne wywodzący pienia.
Podniosłem oczy, i mile zdumiony
Wzrok mój na wszystkie rozsyłałem strony;
I tak te lube uniosły mię dźwięki,
Że nawet mojéj zapomniałem męki.
Lecz zmysły moje, wracając stopniowo,
W zwykłą się sferę ściągnęły na nowo;
I znów widziałem jak loch mój ponury,
Zwolna czarnemi zamykał mię mury;
I znów się *światło błędnego* promienia
Snuło — czołgało po ziemi więzienia.
Ptak się ten wsunął przez szczelinę muru,
I siadł nad brzegiem téj strasznej głębiny,
Miał on skrzydełka ślicznego lazuru,
A mniej był trwożnym od leśnéj ptaszyny;
Tysiąc on uczuć w swem pieniu wylewał,
I jak się zdało wszystkie dla mnie śpiewał,
Nigdym nie widział ptaszyny podobnéj,
Nigdy nie ujrzę tak wdzięcznej, nadobnéj;
Zdała się smucić po jakiéjś utracie,

Przecież spokojniéj niźli ja po bracie.
Przyszła mnie kochać, kiedy już nie było
Żadnego serca, coby dla mnie biło.
Śpiew jéj tak mile do duszy się wciskał,
Żem przez nią myśli i czucie odzyskał —
Przybyłaż ona z lasów, gór, lub pola,
Czy też z swej klatki w moję otchłań ciemną?
Uroczny ptaszku! znając co niewola,
Nie byłbym żądał, byś się więził zemną.
I myśl mi przyszła — że w tym wdzięcznym stroju
Przybył on z krain wiecznego pokoju......
Grzesznem zapewne było to dumanie,
Jam się rozpłakał i uśmiechnął na nie,
Myśląc, że może dusza mego brata
Przyszła z tamtego odwiedzić mię świata;
Kiedy w tem skrzydły zerwał się płochemi,
A ja poznałem, że był ptakiem — ziemi!
Brat by mię nie był tak srodze zasmucił,
Ni tak podwójnie samotnego rzucił.
Byłem samotny — jakby trup na marach,
Samotny — jak ta chmurka drobna, sina,
Co się tam błąka tak sama — jedyna,
Po niezmierzonych błękitu obszarach.
Jedyna zmarszczka na czystym lazurze,

Powiewna plamka na swietnem sklepieniu,
Co Bóg wie, po co czerni się tam wgórze;
Gdy ziemia w kwiatach, a niebo w promieniu.

XI.

Doznałem wreście w losie moim zmiany.
Wzruszył dozórców stan mój opłakany,
Nie wiem dla czego, gdyż od lat tak długich
Przywykli patrzeć na nieszczęścia drugich —
Pozostał jak był łańcuch mój skruszony;
I tak mi wolność nadano chodzenia,
Z jednéj do drugiéj przebiegałem strony,
I w zdłuż i w poprzek całego więzienia;
Gdzie tylko było stąpnąć mi podobna,
Wszystkom to schodził — każdy słup okrążył,
I wszystkie razem i każdy z osobna,
I znów się zwracał i na nowo dążył;
Strzegąc się tylko, abym stopy memi,
Grobowéj braci nie nadepnął ziemi;

Na tę myśl bowiem tak okropną, srogą,
Że stopa moja groby ich bezcześci,
Ciężki się wemnie oddech ścinał trwogą,
Serce drętwiało — pękało z boleści.

XII.

Wybiłem wschody długiem w murze kuciem;
Ale nie na to, bym uciekał niemi;
Gdyż kto mnie tylko ludzkiem kochał czuciem,
Zdawna już, zdawna w zimnej więdniał ziemi.
Cały ten okrąg — cały przestwór świata,
Szerszemby tylko dla mnie był więzieniem:
Nie miałem ojca — dziecięcia — ni brata,
Nikogo, coby mojem czuł cierpieniem.
(I szczerze wyznam, śmierć mnie ich cieszyła,
Gdyż ich męczarnia dla mnie piekłem była)
Lecz chciałem po tym wdzierając się murze,
Z za kraty okna, wykutego w górze,

Raz jeszcze Alp mych cieszyć się widokiem,
Rzewnem — miłośnem na nich spocząć okiem.

XIII.

Spojrzałem na nie — i te same były,
Ja się zmieniłem, one nie zmieniły.
Wieńczył je zawsze ów śnieg lat tysiąca,
U stóp ich fale lśniły się Lemanu,
I zawsze sina i bystro lecąca,
Szumnie się woda zlewała Rodanu.
Słyszałem w górach huczące potoki
Po pniakach krzewin, po łomach opoki,
Widziałem zdala miasta mur białawy,
I z bielszym żaglem pływające nawy,
Widziałem i tę wysepkę nadobną,
Tak wdzięczną, miłą dla mego spojrzenia,
Co mi się w ów czas zdawała tak drobną,

Mało co większą od mego więzienia.
Wyspa ta była urocznej zieleni,
Jedną — jedyną w wielkiéj wód przestrzeni;
Trzema się drzewy wieńczyła wzniosłemi,
I z gór płynący wiatr powiewał niemi;
Biły ją wody, a tysiączne kwiaty
Stroiły wdziękiem różnobarwej szaty.
Widziałem rybki igrające w wodzie,
W całéj wolności i szczęścia swobodzie.
Orzeł wysokim lotem w chmurach ginął,
Nigdy on może tak szybko nie płynął,
Jak mnie się w ów czas z po za kraty zdało,
I oko moję łzami się zalało.
Osłabłem z tylu wolności widoków,
I prawie moich żałowałem oków;
A gdy znów zszedłem, ciemność mi więzienia
Spadła na duszę jak ciężar kamienia.
Zdało się, jakbym do życia wróciwszy,
Nagle i wiecznie zapadł w grób straszliwszy;
Przecież wzrok tylu znużony przedmioty,
Wśród takiéj tylko mógł spocząć ciemnoty.

XIV.

Liczne dni — lata mijały koleją,
Jam się ich płonną nie trudził rachubą,
Z wszelką się bowiem rozstałem nadzieją,
Bym kiedyś przejrzał przez tę mgłę tak grubą.
Przyśli mię wreście wywlec z lochu mego,
Lecz jam nie pytał gdzie — dokąd — dla czego?
Bo czemże dla mnie wzzystkie były wieści?
Stałem się martwym na wszystkie odmiany,
Zimnym na wolność — zimnym na kajdany;
I jakoś w mojem wkochał się boleści.
Gdy więc z tą nędzną wolnością przybyli,
I wszystkiem węzły w jednej zrywał chwili;
Śniadc te mury z swą czarną jaskinią,
Stały się dla mnie ojczyzną — świątynią!
I zdało mi się, jakby dłoń mych wrogów
Znów mię z rodzinnych wydzierała progów.
Zawarłem przyjaźń z pająkiem więzienia,
Zważałem zręczność wątłych nitek snucia;
Myszka mi w świetle igrała promienia,
Czemużbym nie miał podzielać ich czucia?
Wszyscyśmy jedną tylko ustroń mieli,
Jam był ich królem — mogłem dręczyć, zgładzać,

Przecież, rzecz dziwna! wszyscyśmy umieli
Zmieścić się, znosić i na wzajem zgadzać!
Same ja wreście pokochałem pęta,
Tak dusza długiem nawyknieniem gięta,
Gnie się i jakoś w nowy stan swój wrośnie —
Zyskawszy wolność — westchnąłem żałośnie. —

Żeglarz powietrzny.

Słaby i znikomy tworze,
Gdzież się twa smiałość przedziera,
Małoż ci otchłani morze,
A ziemia grobów otwiera?

Któreż wieki, któreż strony,
Któryż Bóg ci kres oznaczy,
Kto ten popęd nieskończony,
Duszy ludzkiéj wytłómaczy?

Próżnoż swym pamiętnym losem,
Zbladły cię Ikar przeraża?
Ziemia tkliwym zwraca głosem,
Niebo piorunem zagraża?

Lecz cóż dzielną wstrzyma wolę,
I ten wrzący zapał męztwa?
Już na posłusznym żywiole,
Rozwijasz żagiel zwycięztwa!

Są więc te stanowcze chwile,
Chwile życia, wieki chwały,
Gdzie dusza w całéj swéj sile
Rzuca się w zawód zuchwały.

Gdzie z głębi siebie przywoła
Wszystko, czem się podnieść umie,
I gdzie człowiek wszystko zdoła,
Co być podobnem rozumie.

Chwała, chwała twéj odwadze!
Same ją budzą niebiosy,
Ustępują twéj przewadze
Przeszłość, natura i losy!

Gdzie gniewnym Boga wyrokiem
Grzmią te krainy rozległe;
Gdzie samą myślą i okiem
Sięgały wieki ubiegłe;

Tam cię wolnego obawy,
Niesie twoja własna siła;
Tam na skrzydłach swojéj sławy,
Wiek cię obecny przesyła.

Patrz! jak ów orzeł wspaniały,
Oswojony z niebios grzmotem,
Odwagą twoją zdumiały,
Niespokojnym krąży lotem.

Patrz! jak się w chmurach ukrywa,
Gniewem i wstydem zapala;
Jak próżno gromów przyzywa,
Na zgubę swego rywala.

Próżno na swe losy zdradne,
Skarżące jęki wywiera;
Dłoń mu twoja, samowładne
Berło powietrza wydziera!

O! jak cię każdy zedrzeniem,
Jak duszą ściga radosną;
Jak z każdem lotu wzniesieniem,
Myśl się wzbija, serca rosną.

Czemuż im śmielszy, im wyższy,
Tem silniejszą zazdrość budzi, —
Czyli żeś już nieba bliższy,
Czyli żeś dalszy od ludzi?

Wzbijaj się mężny sterniku,
Uciekaj z ziemskiej doliny,
Leć szczęśliwy śmiertelniku,
W wolne ulatasz krainy!

Już cię swemi skargi, jęki,
Nie dochodzi głos ziemianów,
Ani ciężkich kajdan brzęki,
Pieszczące ucho tyranów!

Już nie widzisz obcych rodów
W twoich ojczystych siedliskach;
Ani rozdartych narodów,
Ni starych tronów w zwaliskach.

O! jeźli cudem w naturze,
W twoim dalekim zakresie,
Aż do owych światów w górze,
Szczęśliwy lot cię zaniesie;

Jeźli tam ludzkim postaciom
Ujrzysz podobne istoty;
Powiedz tym odległym braciom
Ziemskie niezgody, sromoty!

Okryśl te mordy, pożogi,
Te prawa, cnoty zdeptane;
Ponieś im krwawe przestrogi,
W klęskach padołu czerpane. —

Spiesz się — spiesz połączyć z niemi!
Wzbijaj się — wzbijaj do góry.
Dotąd byłeś panem ziemi,
Dziś jesteś królem natury.

Świat — twem państwem niezmierzonem,
Chmury — królewską osłoną;
Te powietrza — twoim tronem,
Wysokie gwiazdy — koroną!

Lecz cóż to? jakaż zawada
Śmiały lot jego ukraca?
Już słabieje — już upada
I znów do pyłu powraca.

On! co wśród wolnej swobody,
Trącał o niebios sklepienia!
Temże są ludzkie zawody,
I wszystkie ziemskie marzenia?

O b ł o k.

(Marzenie.)

I.

Widzisz ten obłok z śnieżnych run spojony,
Zwolna od wschodniej żeglujący strony,
Co jak spokojne cnotliwego życie,
Cicho po czystym upływa błękicie;
Z kądże on dąży i dokąd ucieka?
Jakież go losy, jaka przyszłość czeka?
Może on kiedyś cały świat zachmurzy,
Wszystko zniszczy, spali, zburzy;
Rykną gromy, deszcze luną,
Całe lasy, grody runą,
Świat się potopem zaleje:

Może też dzisiaj — może w tej godzinie,
Pierwszy go wietrzyk rozwieje;
I na zawsze zginie.

II.

Ileż on kształtów w swojéj brał podróży!
Ranek go przybrał w wdzięczną barwę róży,
I kiedy jeszcze w ciszy uroczystéj,
Czekała wejścia tarczy dnia ognistej
Niebios przestrzeń niezmierzona:
On w téj przestrzeni tak drobny, maleńki,
Płynął sam jeden, jak zwiana zasłona
Z jasnego czoła jutrzenki.
Inną on teraz, i co chwila inną
Przybiera postać, kształt i barwy zwodne;
Patrz, jak go swoją igraszką dziecinną
Kołyszą wiatry łagodne.

To go jak żagiel na rozległem morzu,
Pędzą po wielkiem błękitów przestworzu,
To znów jak księżyc, gdy go mgła omroczy,
Śnieżnym się kręgiem po niebiosach toczy,
I jak on błyszczy z daleka.
To wreście w lekką zasłonę rozwiany,
Jak biały orzeł wichrami porwany,
Gdzieś tam z swą chwałą ucieka!
Nie takim będzie, gdy z wieczornym mrokiem,
Do kresu swego dopłynie zawodu,
I złotym zorzy oblany potokiem
Uwieńczy bramę zachodu!
Strasznym on, krwawym blaskiem się rozżarzy,
Jak płomień gniewu na rycerskiej twarzy;
Lecz w krótce, jak ta mgła ciemna, wątpliwa,
Co wszelkie słoniąc wspomnienie,
Świetną nam przeszłość pokrywa;
Tak i on z nocną ciemniejąc pomroką,
Zgasłej już gwiazdy pozgonne promienie
Mglistą zasunie powłoką. —

III.

Miło jest na nim twemu spocząć oku,
Ścigasz go chętnie przez niebios przestrzenie;
Ale jak kiedy wdzięczne wieszcza pienie,
Wznosi cię mocą boskiego uroku;
Poisz się, dziwisz, zachwycasz, bolejesz,
To łzy rozkoszy, to łzy żalu lejesz;
A jednak nie wiesz, co tak piękne dzieło
W piersi wieszcza tchnęło;
Z jakich chwil, zdarzeń i losów kolei,
Z jakich wspomnień swéj młodości,
Z jakich ran serca, zwiedzionych nadziei
Tyle ci wywiódł piękności;
Tak i z tą chmurką, co tam w górze płynie,
Wzrok się twój bawi jedynie.
Lecz gdy z nią krąży po niebios błękicie,
Nie wiesz, nie pytasz co jéj dało życie;
Czyli jest szczątkiem strasznéj nawalnicy,
Czy się z wyziewów Oceanu wzniosła,
Czyli z pożaru ogromnéj stolicy,
Czy też z pól krwawych wielkiéj bitwy wzrosła,
Czy wreście z hołdu błagającéj wiary
Palonéj niebu ofiary!

Ileż to może z tej ziemskiej doliny
Łez, żalów w górne uniosła krainy!
Niejedna może nadzieja i chwała,
Z płonnym dymem uleciała!
I gdy niejednem może szczęściem świata,
Gdzieś tam po górze płochy wiatr pomiata;
Nędzny śmiertelnik przykuty do ziemi,
Musi na nowo walczyć z losy swemi;
I znów te same przechodzić koleje,
I drugą życia przetrwonić połowę,
Aby mógł jakąś uroić nadzieję,
Skleić szczęście nowe,
Stwarzać to nigdy nieskończone dzieło,
By może znowu jak pierwsze zginęło!

IV.

Płyń, płyń z wiatrami, kołysz się łagodnie,
Lotny żeglarzu górnego przestworza!

Jakże ci musi być błogo, swobodnie,
Te czyste, jasne przepływać tam morza.
O czemuż szczęsne wiatry cię nie zwiały
Z jakiej tam prawdy, dotąd zasłoniętej,
Z któréjby ludy, króle dociekały
Szczęścia, pokoju tajemnicy świętej!
Płyń, płyń, ulatuj okiem niedościgły.
Nad te groźne gór tych igły,
Co jak olbrzym niezmierzony,
Na całej ległe krainie,
Aż tam cię swemi ramiony
W podniebne gonią pustynie!
Trzeba ci, trzeba wysoko żeglować,
Aż pod szczyt nieba uciekać przed niemi;
Kto chce swą wolność zachować,
Niech się nie zbliża do ziemi.

Pierwsza miłość.

O jakże słodko twoja rozkosz wzrusza,
Pierwsze uczucie pierwszego kochania,
Jakże się tobie młoda dziwi dusza,
Piękniejsza wdziękiem dumania.

Cóż to za nagłe uczuła ocknienie,
Ileż w niéj trwogi, rzewności, słodyczy,
Cóż to za lube i rozkoszne drzenie
Miesza jéj pokój dziewiczy?

Jest to woń boska nieznanego kwiatu,
Gdzieś tam z Edeńskiéj przywiana krainy;
Gwiazda innemu jaśniejąca światu,
Uśmiech marzącéj dzieciny!

Wznosi się czuciem biała pierś dziewicy,
Jak śnieżny żagiel lekkim wiatrem wzdęty,
Kiedy przed chwilą czarnéj nawalnicy,
Przez morskie płynie odmęty.

Jeszcze ta burza w głębi wód spoczywa,
Jakby myśl czarna w sennych marzeń roju;
Jeszcze te morza czysta noc okrywa,
Przyświeca gwiazda pokoju.

Puszcza się, płynie, żeglarz nieświadomy,
W pierwszéj, urocznéj młodych uczuć wiośnie;
Lecz ten, co przetrwał już burze i gromy,
Jakże nań patrzy litośnie!

Próżnoby — próżno chciał go zwracać z drogi,
Tam gdzie go wiernie dawny pokój czeka;
Ach! któżby słuchał natrętnej przestrogi,
Gdy wszystko szczęście przyrzeka!

Gdy po tem świetnem tylu gwiazd przestworzu,
Najmniejsza nawet chmurka nie przemija;
I gdy w tem morzu, niezmierzonem morzu,
Całe się niebo odbija!

Pierwsza miłości! ty z nad gwiazd przybywasz,
Wdzięki i szaty strojna anielskiemi;
Lecz jak ten urok, z którym do nas spływasz
Prędko na téj gaśnie ziemi!

Jak prędko w błędne puszczeni bezdroże,
Płaczemy twojéj słodyczy niezwrotnej;
Czemuż cię serce zatrzymać nie może,
W twojéj czystości pierwotnéj?

Wszystkoż więc człowiek tak marnie rozproszy,
Najświętszych nawet darów nie oceni?
I każdeż zródło szczęścia i rozkoszy,
Sam w zródło nieszczęść zamieni!

Potęga myśli.

Myśli! ogniste szczytnych natchnień dziecie,
Wyższéj natury nieśmiertelny kwiecie,
Iskro duszy méj ogniska;
O jakżeś w twoim wysoka polocie,
Wyższaś nad słońca, nad tych światów krocie,
Wyższa nad cudów zjawiska!

Gdzież nie dosięże twa dzielność tajemna!
Granicą twoją nieskończoność ciemna,
Tobą to człowiek znikomy

Podbił tę ziemię — morza upokorzył,
Zuchwałą drogę w powietrzu roztworzył,
I burzom wydarł ich gromy.

Tobą to Kolomb za morza nagłony,
Jak gdyby wielkie przeczuł Wasyngtony,
Biegł na burze, śmierć gotowy —
Tobą przesięgał wód nieznanych tonie,
I nim go ujrzał, jużeś w jego łonie
Zgadła, stworzyła świat nowy.

Przez ciebie grecki wieszcz zbudował sobie
Ów wielki posąg na Achilla grobie,
Trzydzieści wieków go wspiera;
I gdyby zginął ród Helenów cały,
I nawet dzieje zapomnieć go miały;
Ożyłby w sławie Homera.

Myśli! niezgłębny i bezkresny świecie,
Tyś orłem w mędrcu, tyś burzą w poecie,
Tyś prawdziwem słońcem ziemi;

Ty wszystkie ludy, wszystkie wieki bratasz,
Jak łuk ognisty noc czasów przelatasz,
I łączysz przeszłe z przyszłemi.

Wzbił się Kopernik nad zakres spojrzenia,
Zdziera zasłonę z tajemnic stworzenia,
I światów porządek kryśli,
Możeż być większy tryumf dla człowieka?
Boga swojego układów docieka,
I co Bóg myślał, to myśli.

I któż więc jeszcze tak zuchwałym będzie,
By cię chciał w twoim wstrzymywać zapędzie,
Ciebie swemi gromić kary?
Czyż go nie zrazi téj walki daremność,
W któréj uległa tylowieczna ciemność,
I wszystkie dotąd Omary?

Łamie się stałość i hart cnoty kruszy,
Tysiąckroć padła sama wielkość duszy,
Zgiął się człowiek, świat ukorzył;

Ale ty myśli ugiąć się niezdolna,
Tyś jedna zawsze tak czysta i wolna,
Jak kiedy Bóg cię utworzył! —

Dumanie.

Narzekasz na twe cierpienia,
Przeklinasz losy człowieka,
Jak gdyby chwila ulżenia
Tak była od nas daleka.

Dzień tego życia tak krótki,
I twoje słońce już nisko;
Na cóż więc żale i smutki,
Kiedy do kresu tak blisko.

Po cóż w ranne lat twych zorze
Żałosnem wracać spojrzeniem,
I burzliwe życia morze
Smutnem przebiegać wspomnieniem?

Po cóż nowemi trucizny
Powiększać mękę tak srogą,
I jeszcze liczyć te blizny,
Co się już zgoić nie mogą.

Wartaż tej czarnej rozwagi
Boleść, co z nami zaginie?
Chwila już tylko odwagi,
A wszystko wiecznie przeminie.

Ale próżno moim głosem
Twojego męztwa przyzywam;
Próżno cię godzę z twym losem,
I od tej ziemi odrywam.

Ciebież to swoim urokiem
  Świat ten pociąga i ludzi;
Czegoż to jeszcze twem okiem
  Zdajesz się szukać wśród ludzi?

Tu gdzie zdradnemi uśmiechy
  Srogie nas zwodzą nadzieje,
Tu gdzie nawet kwiat pociechy
  Zaledwie wzrośnie — więdnieje!

Tu gdzie całą świata siłą
  Jednej chwili nie ustałem,
I co z rana szczęściem było,
  To już z wieczora jest żalem;

Wszystko tu z czasem ustawa,
  Wszystko przemija niestety;
Najgłośniejsza nawet sława
  Dojdzie kiedyś do swéj mety.

Tem bardziej ciche twe jęki,
Które skryty żal wywodzi,
Zginą jak znikome dźwięki;
Nie ta je ziemia nagrodzi.

Czas co cię wywiódł z powicia,
Znów cię zwróci do nicości,
I tę mętną kroplę życia,
Zatopi w morzu wieczności.

Wszystko w krótkiej zniszczy dobie,
Wszystko, czy przykre, czy miłe;
Zgasi płonny żal po tobie,
I z ziemią zrówna mogiłę.

I nikt z ludzi nie przybędzie
Łzami cię uczcić swojemi,
Ani nawet wiedzieć będzie,
Czyś kiedy cierpiał na ziemi.

Zginiesz wiecznie zapomniany,
Tak istność twoja przeminie,
Jak ten obłok niewidziany,
Co w czarnej nocy przepłynie.

Żegnaj więc — żegnaj niezwrotnie
Wszystko, coś kochał i cenił;
Coś opłakał tylokrotnie,
Coś szczęściem twojem być mienił.

Uciekło widmo znikome,
Żadna łza go nie odwoła;
Poszło w strony nieznajome,
I nic go zwrócić nie zdoła.

Już nie prześle sercu twemu,
Żadnej pociechy, nadzieje,
Już i żaden wiatr ku niemu
Głosu twego nie zawieje. —

Lećcie, lećcie dni daremne,
Bez celu, troski, życzenia;
Lećcie dni puste i ciemne,
Uciekajcie bez wspomnienia.

Lećcie jak ten liść opadły,
Co jeszcze z wiatrem ulata;
Rzuca nim wicher zajadły,
Lecz już umarłym pomiata!

Fragment charakteru.

Jest czas, który przywodzą niedole, lub lata,
Gdzie człowiek nic już w siebie nie naciąga z świata,
Tem żyje, co ma w duszy: już do swego łona
Nie przyjmie żadnej kropli czara przepełniona.
Syty ludzi i życia, zamknął dni swych dzieje;
Sława mu bez uśmiechu — bez wdzięku nadzieje,
Wszystkie, wszystkie pogrzebał w wielkim serca grobie,
I żądzę nawet szczęścia już wygasił w sobie.
Jak ów robak, co w własnej sklepi się osnowie,
Tak i on nić tę ciągnie, co się życiem zowie;
Co dzień ją snuje z duszy, z tylu wspomnień marnych,

Z tylu żałów, nadziei, trosk i marzeń czarnych;
I tak co dzień i codzień, długich dumań skutkiem,
Coraz grubszym, ciemniejszym osnuwa się smutkiem.
Nie sądź przecież, że chętnie swym się jadem truje;
Nie odpycha on pociech, lecz ich marność czuje.
Miał on niegdyś dni swojej młodości i chwały,
Dni miłości, dni boskie!.. i gdzież się podziały?
Gdzież są te szczęścia jego bogate zasoby?
Kwiatami swojej wiosny pouwieńczał groby,
Inne zwiędły pod zimnem doświadczenia wzrokiem,
I wszystko już ochmurzył duszy swojej mrokiem.
Spokojnym jest, lecz czemże ta spokojność bywa?
Zimnem, gnuśnem i martwem morzem go opływa.
Morze to nie ma burzy, lecz i portu nie ma;
Świat przecież taki pokój nieraz szczęściem mniema.
Nie wyszydza on obcych zdań, uczuć, lub marzeń,
Lecz inną wiarę, czucia, z własnych powziął zdarzeń.
Pod barwą on innego żeglował okrętu,
Inną prawdę wyczerpnął z ludzkich działań mętu,
Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
Taki został, skamieniał; — sama śmierć go skruszy.
Rycerz to jest, co ziemskie już zamknąwszy boje,
Bronzowym chwały płaszczem okrył postać swoję;
Stanął niemym posągiem w pośród świata wrzawy.

Niczem on już przybranej nie zmieni postawy,
Jeden tylko i jeden zawsze wyraz twarzy,
Jaką myśl dano czołu, taką stale marzy;
A gdzie raz zwróconemi wpatrzył się oczyma,
Tam je ciągle, niezmiennie, wiecznie wryte trzyma.

Julia i Romeo
(Szekspira.)

Akt IV. Scena 3.
(Pokój Julij.)

Julia i Niańka.

Julia.

Tak jest, wszystkie te stroje najlepiéj dobrane,
Lecz dozwól niechaj sama przez tę noc zostanę,
Ileż gorących modłów odmówić mi trzeba,
Nim litość nad mym stanem wyproszę u nieba;
Sama wiesz dobra niańko ile błądzę, grzeszę.
(*Hrabina Kapulet wchodzi.*)

Hrabina Kapulet.

Macie dużo roboty? — na pomoc wam spieszę.

Julia.

Nie, nie trudź się daremnie; — jużeśmy strój cały
Stósownie do jutrzejszych zaślubin wybrały;
Racz mię samą zostawić, matko ukochana,
Niechaj niańka przy tobie zostanie do rana.
Tyle masz do czynienia w ciągu całej nocy,
Zabierz ją, dobra matko, zabierz do pomocy.

Hrabina Kapulet.

Dobra noc, dziecię moje, idź wypocząć sobie,
Potrzebujesz spoczynku.

(Hrabina i Niańka odchodzą)

Julia.

Bóg was żegnaj obie! 1)

1) Ludwika Belloc pierwsza zwróciła uwagę tłomaczy na angielskie: farewell, które nie samo słowo rozstania oznacza, lecz pożegnanie, z życzeniem szczęśliwego powodzenia. Wielu z naszych przekładało ten wyraz przez żegnam, bądź zdrów; — mnie Kochanowskiego: Bóg was żegnaj zdawało się najwłaściwszem. —

Ach! któż wie na jak długo z niemi się rozdzielę?
Jakże zimny mróz dreszczu w mojem krąży ciele,
Zda się życie wymrażać. — Odwołać je muszę,
O niech wrócą strapioną pocieszać mi duszę.
Niańko! — lecz cóż tu po niej?... sama ja bez świadka
Muszę tę straszną scenę wygrać do ostatka.
Pójdź tu płynie wybawczy!
(*bierze flaszeczkę*);
Cóż! gdyby twa siła,
Na uśpienie mych członków nie dość mocną była?
Czyliż mi gwałtem każą poślubić Hrabiego!..
Nie, nie — leż tu sztylecie — ty zabronisz tego...
Lecz gdyby się ten napój miał z trucizny składać,
Którą chytry zakonnik chciałby śmierć mi zadać;
Na to, by mnie z Romeo złączywszy tajemnie,
Winy swojéj żyjący dowód zniszczył wemnie?
Lękam się, czy tak nie jest . . lecz się nie, nie boję,
Kapłan ten zawsze znanym był przez świętość swoję.
Ależ gdybym się miała w mym grobie ocucić,
Wprzód, nim przyjdzie Romeo wolność mi powrócić?
Straszliwy losie! czyliż w tym lochu zgnilizny,

Co paszczą swoją same wydysza trucizny,
Nie zaduszą mnie jego wyziewy szkaradne,
I przed przyjściem Romeo trupem nie upadnę?
Gdybym i żyła — czyliż to straszne zmieszanie
Śmierci i nocy razem — te czarne otchłanie,
Te groźne jamy, naksztalt starożytnych składów,
Gdzie z wieków leżą tłumem kości mych naddziadów,
Gdzie się świeżo złożony trup Tybalta kryje,
I cały krwią oblany w czechle swoim gnije;
Gdzie o pewnych godzinach, jak nam wieść powiada,
Duchy schodzą się w nocy — ach! biada mi, biada!
Jeżeli wsród te straszne przebudzę się dziwy,
Na te zgniłe wyziewy, ten chrzęst przeraźliwy,
Który jak gdyby z rwania pokrzyków pochodzi,
A słyszących go ludzi do szaleństw przywodzi —
O jeśli się przebudzę na ten widok srogi,
Nie zdziczejeż myśl moja z tak okropnej trwogi?
Nie będęż ja z zwłokami ojców mych szalała?
Nie wywlokęż Tybalta skrwawionego ciała,
I tej głowy zbłąkanej rospaczą, wściekłością,
Jakiego z wielkich przodków nie roztrzaskam kością?
O patrzcież! nie Tybalta duchże to przechodzi?
Na zabójcę on swego, na Romeo godzi —

Ach! wstrzymaj się Tybalcie! stój na Boga w niebie!
Idę, idę Romeo! piję to dla ciebie!
(*rzuca się na łoże*).

Do A. K.

przy odjeździe w cudze kraje.

Jutro więc już w porannej masz wypłynąć porze,
Z ciasnych brzegów twej rzeczki, w tak rozległe
morze,
Jutro to po niestałej unosząc cię fali,
Zatonie mi twój żagiel w tej błękitnej dali,
Co jakby mgłą przyszłości, jeszcze przed twem okiem,
Ten Chanaan twych marzeń ciemnym kryje mrokiem.
Próżno będę za tobą łzy boleści ronił,
I długiem cię spojrzeniem i żalami gonił.
Jak gdy na zmarłem szczęściu liczne legną czasy,
Tak mi ciebie zasłonią i góry i lasy.

Znikniesz, znikniesz na długo, — a ja sam zostanę,
Sam, jak rozpacz wzgardzona, jak łzy niewidziane,
Jak kwiat Tatrów, co wieczna otacza go zima,
Lub na stepach arabskich cichy grób pielgrzyma.
Ale cóż dwóch przyjaciół rozłączyć tu zdoła?
Głos ich góry przesięgnie i morza przewoła;
Dojrzą się okiem serca, skrzydłem myśli zgonią,
Okrążą smutkiem troski, modłami osłonią.
Gdziekolwiek los ich rzuci, tam ich przyjaźń wszędzie
Tym skrytym, niewidzialnym węzłem spajać będzie.
Ach, bo jest, jest w tym świecie, padole goryczy
Jakiś inny świat jeszcze, cichy, tajemniczy,
Gdzie dusza widzi duszę, z dala ją rozumie,
Z dala trwogą, tęsknotą rozmawiać z nią umie.
Gdzie choć w smutnej, dalekiej zatoniona ciszy,
I czuje woń jej szczęścia i łez spadek słyszy;
Gdzie jak pasmem promieni, tak myślami swemi
Ciągle się przyciągają, ciągle wiążą niemi;
Gdzie się tysiąc bezdźwięcznych krzyżuje łańcuchów,
Świat ten nawet poziomy łączy z światem duchów.
Tym to wzrokiem mej duszy będę ja z kolei
Widział cię w mgle pamiątek, widział w snach nadziei,
Codzień się wzmagał, krzepił i znów co dzień słabiał,

Niknący mi twój obraz pamięcią odrabiał.
Aż wreście, gdy w zbyt długich tęsknotach upadnę,
Nagle cudem przeczucia twój powrót odgadnę!

S z a t a n.

Zorane gromem, przecież dumne czoło,
Nad czarnem państwem wznosi król piekielny;
Płomienne morze oblewa go w koło,
Warzy się, szumi ogień nieśmiertelny.
Biją odwiecznej lawy huczne wały,
W groźną ruinę archanielskiej chwały.

Straszny jak zemsta, a jak noc ponury,
Okiem kometne rozrzuca promienie,
Zgęsłej ciemności nieprzejrzane chmury,

5

W grube się nad nim rozległy sklepienie;
Karą i gniewem wszechmocnym ciężarne,
Wielkie jak piekło, a jak zbrodnia czarne.

Ciągle tam na tej okropnej osłonie,
Piorunem Boskiej prawicy wyryta,
Wognistych zgłoskach straszna Wieczność płonie;
Wiecznie ją, wiecznie całe piekło czyta;
A im się głośniej na swój wyrok skarzy,
Tem się ten napis krwawszym ogniem żarzy.

Nie z jego piersi jęk się wydrze taki,
Mścić on się tylko, lecz nie skarzyć umie:
Podle, zawoła, litości żebraki!
I z wzgardą depce po ryczącym tłumie;
Rzekłbyś, że całe piekło schłonął w siebie,
Tak bluźni, grozi Władnącemu w niebie.

Patrz! patrz! zaledwie święte wyrzekł imie,
Burza w płomiennym huczy Oceanie;
Grzmi, tętni, w góry piętrzy się olbrzymie,

W czarne, bezdenne rozdziera otchłanie;
Ciskani w górę, o brzegi tłuczeni,
Rozległym jękiem wyją potępieni.

Krwawe, gorzące nad nim szumią chmury,
Dumne oblicze gradem ognia sieką;
Rykły! — i grzmiąca katarakta z góry
Leci, ognistą oblewa go rzeką;
Stoi jak Cezar piekieł, gromem bity,
Cały w płomiennym płaszczu law ukryty

Stoi w obliczu tylu wielkich cieni,
Okropnem zemsty wszechmocnej igrzyskiem;
Ale i z pod tych jeszcze grzmi płomieni,
Iskrzących oczu przestrzela je błyskiem;
Żarzy się w głębi duma, zemsta wściekła,
Wulkan z Wulkanu — piekło płonie z piekła.

Takim jest Szatan, niegdyś niebios chwała,
Znają go ciemne Przedwieczności dzieje;
Potęgą jego jest wielkość zdziczała,

Piekło mu z oczu, król z czoła jaśnieje:
Wieczną się walką z wiecznym ściera wrogiem,
Swiat — celem boju, a przeciwnik — Bogiem. —

D o . . . . . .

Nim wietrzyk przeciwności spokojność twą wzruszy,
Używaj chwil tak błogich na drogiem ci łonie;
Raz tylko kwiat młodości na licach nam płonie,
I raz tylko kwiat szczęścia rozwija się w duszy.

Używaj, gdyż tak rzadko dwa serca podobne
Jeden los, jeden węzeł, jedno łączy bicie;
Używaj, gdyż te usta tak wdzięczne, nadobne,
Z czary tylko rozkoszy pićby winny życie.

Są, którym zbyt wczesnemi łzami ćmią się oczy,
Zbyt wcześnie obłok smutku wdzięczną skroń osiada:
Zaledwie rozwinione serce boleść toczy,
I przed kwiatem młodości, kwiat szczęścia opada.

Są, co z życia osnowy sam smutek wyprzędli,
Nie śmieją nawet z drobnem ozwać się życzeniem,
I płonną żądzą serca strawieni i zwiędli,
Z nieugaszonem duszy polegną pragnieniem.

Wdzięcznym w śród tych barw czarnych błyszczysz
nam obrazem:
Wiosna twoja i w jednym listku ci nie zbladła.
Jaśniej więc pełnią szczęścia! lecz strzeż się zara-
zem,
By w kielich twej radości łza bliźnich nie wpadła.

Nie mów przebóg! o szczęściu twojem w obec ludzi,
Bo któż wie, jaką boleść twoim zranisz głosem?
Nie raz odgłos cudzego szczęścia do łez budzi,
I serca już rozdarte nowym krwawi ciosem.

Przyjdzie czas, przyjdzie, wktórym nasycona świa-
tem,
Zajrzysz w dusze ostremi ściśnione cierniami;
A widząc się samotnym tylu ruin kwiatem,
Zasmucisz się twem szczęściem, i zapłaczesz z nami.

N i b a v a t o n.

I wylał siódmy Anioł czaszę swą na powietrze
i wyszedł głos wielki — Stało się!
Apocalipsis.

Dziwneż to rzeczy w starych szpargałach się mieszczą,
Jest w nich proroctwo ręką nakreślone wieszczą.
Pismo stare -- wpółstarte — jak na gockim murze,
Rąbanym już od wieków przez czasy i burze. —
Strasznej treści zapowiedź w kartach jego leży:
Nim tysiąc i znów tysiąc lat, dni, godzin zbieży,
Spadnie kara na ziemię zbrodniami zalaną,
Bóg zamknie łona kobiet i rodzić przestaną.

I nie będzie już matek — i przez całą ziemię
Mrożącym trwogi dreszczem ludzkie zadrzy plemie.
Zimnym się nagle wstrętem obie płcie rozżenią,
Za nic młodość i wdzięki — serca w lód się zmie-
nią;
Boleść tylko zostanie — rozpacz, którą wzbudzi
Widok dzieci, na których skończy się ród ludzi.
I powoli wymierać zacznie ludzkość cała,
I borami zarastać ziemia spustoszała.
Puszczą się każde państwo ociągnie do koła,
Naród się o narodzie dowiedzieć nie zdoła.
Wszystkie drogi zalegną i zwierza i gady,
I sprosne — oczom ludzkim nieznane szkarady!
Co dzień i codzień będzie ród nasz rzedniał, starzał,
A popłoch wsie rozpraszał, miasta głód wymarzał;
Wielkim grobem zostanie świat ten niezmierzony,
Ołtarze bez kapłanów — bez następców trony.
Człowiek będzie człowieka, jakby szczęścia szukał,
I próżno do wymarłych jego siedzib stukał.
A jeśli — jeśli kiedy w borach się obaczą,
Dziwić się sobie będą i gorzko zapłaczą.
Pierwszy raz w pośród ludzi bój ucichnie krwawy,
Z zimnym wzgardy uśmiechem ziemskie wspomną
sławy;

Jak o płochych igraszkach, lub dziecinnych marach
Będą mówić o wielkich Newtonach, Cezarach.
Wszystka, — wszystka namiętność z zwiędłych
serc uleci,
Cała ziemia podniesie jeden głos o dzieci!
Ryczeć będzie rozpaczą, z łzami łamać dłonie,
I całe — długie lata ciągle wołać o nie.
Próżno — nigdy się skutku próźb swych nie doczeka,
Cała natura będzie rodzić — prócz Człowieka!
I jakby na szyderstwo tej strasznej ruiny,
Żaden kwiatek nie zblednie — żaden śpiew ptaszyny
Nie zsmutnieje na chwilę — wszystko tak barwiste,
Słońce będzie tak jasne — a niebo tak czyste!

Biada! biada tym, którzy w przyszłość patrzeć
muszą;
O! nigdy oni źrzenic z łez już nie osuszą;
Na ten wielki jęk świata, ryk całej ludzkości,
Stare w grobie Adama wzruszają się kości.
Wiekiem wieków zaspałe znów roztwiera oczy,
A zaledwie ostatnie swoje wnuki zoczy,
Krzyczy — cóżem uczynił!.. dłonią wzrok zakrywa,
I na grób swój roztwarty skał i gór przyzywa.

Kruszą się miast rozległych warowne ogromy,
Z hukiem gromów potężne odpadają łomy,
Wznoszą się góry urwisk — chylą ku ruinie,
I groźne krolów zamki i Boskie świątynie;
Wszystko pada i ginie — same z pychą swoją,
Szczytne stolic posągi, jak na pośmiech stoją;
Zmarła ich niesmiertelność — gad ją przeżył sprosny,
Po tłumnych niegdyś rynkach rosną świerki, sosny.
Codzień smutniej — okropniej — rzadko gdzie dym siny
Samotnie pod nad tylu błąka się ruiny —
Pustość, głuchość pogmachach dawnej wrzawy, pychy;
Pół wieku milczą dzwony — zegar jak śmierć cichy
Nie oznacza już czasu — cisza straszna, sroga,
Zda się, że karzącego można słyszeć Boga,
Słyszeć i jęki piekła. — W całym kręgu świata
Jedno uczucie — rozpacz, jedna myśl — zatrata!
Rozpacz nawet tak zimna i zawarta w sobie
Jak skryte w trupach życie, gdy je zamkną w grobie.

Walą się góry nieszczęść, kara karę tłoczy,
Brat brata niepoznaje, lub odwraca oczy;
Nieme, zwiędłe i sprosne tylu klęsk ofiary,
W zgniłych już na pół szatach wloką się, jak mary,

Ten siadłszy na urwisku — dłonią wsparłszy czoło —
Zimnem jak lód spojrzeniem patrzy się w około;
Ten duma i skarzącem okiem niebios pyta,
Ten się zrywa od modłów i z wściekłości zgrzyta,
Sobie — Bogu złorzeczy, — świat — życie przeklina,
I zawyje boleścią i znów wargi ścina. —
Miesza się umysł niewiast gromem przerażenia,
Krążą wirem zamętu potworne marzenia,
Te w kwiaty, ślubne wieńce strojąc pierś i głowy,
Hymn weselny dzikiemi wynucają słowy,
I znów płaczą tak rzewnie—znów wrywszy źrzenice
Zżołkłe, śmiechem szatańskim wykrzywiają lice;
Tamte w szale matczynym i na wstyd przyrody,
Drobne zwierzom domowym wykradają płody,
I nosząc je u piersi i tuląc miłośnie,
Dzikich świata dziedziców wypieszczają sprośnie.
Straszny! okropny widok zniżenia człowieka!
Ziemia go się ze wstrętem i wzgardą odrzeka,
Odtrąca najcelniejszą istotę stworzenia,
Jak sprosną i zraczoną narość przyrodzenia!
Ach! zda się, że tą straszną wzruszone rozpaczą,
Samo piekło dumieje i Anioły płaczą. —
— Stało się! Świat ogromny już się rozprzągł cały;
Nie ma krolów, ni ludów, ni hańby, ni chwały,

Ni wolności, ni kajdan — wszystkie dole, stany,
Zrównał potop nieszczęścia na ród nasz wylany.
Stepy tylko i stepy — a głuchość nad niemi;
Nie widać już i śladu dawnych osad ziemi,
Niedomarła się tylko reszta do miast zwleka;
Tam ją może przynajmniej jakaś pewność czeka;
Tam przecież znajdzie litość, i przy niej schro-
niona,
I ludźmi się pocieszy i wśród ludzi skona. —
Krótka! sroga łudo!.. Jakby huk nawały,
Wszystkie bory straszliwym rykiem się ozwały;
I coraz — coraz bliżej grzmiącemi hałasy,
Jakby wrzawą szatanów wrą i tętnią lasy,
Ryczą puszcze — drzy ziemia — widma jak śmierć
zbladłe,
Wdzierają się na dachy, wieże w pół rozpadłe;
Patrzą — stoją — ostatnie już Adama syny,
Ruiny na ruinach — widzą, że godziny
Najdalszej jak dożyli — wszystkie góry, łany,
Swiat cały, dzikim lasów mieszkańcem zalany;
Patrzą — stoją — i z ócz im łzy ostatnie płyną,
Rzucają się w głąb ulic i na głazach giną —
I wraz zjadłem, tysiącznem wdzierając się stadem,
Dziki zwierz wszystko wściekłym zalewa napadem.

Tłumnemi się po placach rozpędzając kupy,
Cisną się, rozdzierają i kłócą o trupy.
Szerzą się po wymarłych domach wycia, ryki;
Po tronach, po ołtarzach siada potwór dziki,
Wszystkie gmachy i okna dzicz zaludnia wściekła,
Paszcze mordem zjuszone, oczy jak żar piekła;
Niedość, niedość, że plemie wyżarła człowiecze,
Szarpie jeszcze szkielety i po rynkach wlecze.
Rośnie tłum — ciżba — wściekłosć — mnożą się szkarady,
Cała ziemia sprosnemi zaściela się gady,
Z wszystkich szczelin, a nawet i z ciemnic grobowych,
Snuje się płaz zgłodniały i straw szuka nowych. —
I nagle — jakby wpółnoc czernieją lazury,
Grubemi sępów, orłów okirzone chmury;
Roi się czerń powietrzna, — dzika — zjadła, krwawa,
I przez całe niebiosa szerzy krzyków wrzawa;
Spada wreście — i pierwsze odstraszając tłuszcze,
Ostatni po człowieku łup roznosi w puszcze!

Taka to będzie postać ziemskiego przestworza,

I od mnóstwa potworów zaczernią się morza;
Król ziemi runie z tronu i w proch się obróci,
A świat zwierzom wydarty, na nowo im wróci!

To be or not to be.

(z Szekspira.)

Być, czy nie być?.. oto jest co rozważać trzeba,
Czy szlachetniej jest ścierpieć wszystkie gromy nieba,
Czy powstać przeciw losom, i w dzielnym oporze
Odwagą przemódz całe nawalności morze.
Umrzeć — zasnąć — nic więcej — zasnąć przekonany,
Że w tym śnie żadne serca nie zbudzą się rany,
Że wszystkim bólom, mękom wieczny kres położem

I jak udziału ciała już ich czuć nie możem. —
Ach któżby takiej śmierci nie chciał życzyć sobie?
Umrzeć — zasnąć — jak zasnąć?.. może marzyć
w grobie?
Ta to czarna wątpliwość, ta wszystko odmienia;
Bo któż wie, jakie przyjdą dręczyć nas marzenia,
W ten czas, kiedy te ziemskie stargamy okowy,
I z nadzieją pokoju zaczniem sen grobowy. —
Ten to wzgląd, zatrzymując dzielny popęd woli,
Tak długie życie naszej nadaje niedoli;
Bo i któż mógłby znosić krzywd i obelg tyle;
Tę dumę, coby wszystko chciała zdeptać w pyle,
Tę boleść, którą wzgarda miłości przenika;
Zwłokę praw, ucisk możnych, butę urzędnika;
Tę przykrą wreście twardość, z którą podła pycha
Tak niegodnie cierpliwą zasługę odpycha;
Któżby to wszystko znosił, kiedy mógłby sobie
Najdrobniejszem żelazem kupić pokój w grobie?
Któżby chciał w jarzmie życia potem zlewać skronie,
Gdyby nie ta obawa, czegoś tam po zgonie,
Tych krain nieodkrytych, z których nikt nie wraca.
To nam wolą osłabia, to śmiałość ukraca,
Tak iż wolim z losami walczyć obecnemi,
Niźli w niepewną przyszłość chronić się przed niemi.

Tak to łatwo sumienie odwagę pokona,
Tak bladością lękliwej myśli powleczona,
Płowieje żywa barwa postanowień mężnych,
Gasną wielkie zamiary w duszach niedołężnych,
Ledwie wzbite popędem, już zwrócone trwogą,
Imienia nawet czynu dosięgnąć nie mogą!

Melodya Hebrajska.

(z Bajrona.)

Płaczcie tych, co nad Fratu płakali strumieniem,
Których ołtarz ruiną, ojczyzna marzeniem;
Płaczcie — strzaskana Judy harfa nieszczęśliwa,
Płaczcie — bo gdzie Bóg mieszkał, bezbożnik prze-
bywa. —

I gdzież wreście Izraël krew nóg swych obmyje?
I kiedyż hymn Syonu przestanie być jękiem?
Kiedyż znów o zbolałe serca się odbije
Ta pieśń Judy, co świętym poiła je dźwiękiem?

Gdzież spoczniecie, i w którą udacie się stronę
O błędne pokolenia, niegdyś Bogu miłe,
Ptaszek ma swoje gniazdo, dziki zwierz zachronę,
Wszyscy mają Ojczyznę — Izrael mogiłę!

Wizyta w Sąsiedztwo.

(z czasów Stanisława Augusta.)

Obraz I.

Gdzież jesteś czasie Ojców?.. jeszcześ niedaleki,
Przecież zda się, że setne dzielą cię już wieki.
Wszystko, wszystko tak nagle, tak zupełnie inne!
O powróć myśli moja w twe lata dziecinne;
Wywołaj dawne kształty, schwyć i przedstaw oku
W mglistym już niepamięci ginące obłoku.

W dzień niedzielny, dzień letni, po mszy, po obiedzie,
Pan Wojski na wizytę taradajką jedzie,

Zacny Pan i domator; żył on niegdyś w świecie,
Lecz się od lat dwudziestu zakopał w powiecie.
Woli on braci szlachtę, niż te korowody,
Jakieś tam, Boże odpuść, cudzoziemskie mody,
Które (uczciwszy uszy [1]) głupce tylko lubią,
A do reszty i naród i wiarę zagubią.
Po polsku on ubrany jest od stóp do głowy;
Kontusz, jak Bóg przykazał, ciemny, rodzynkowy
Żupan jasny bez fałszu [2]), z grodeturu szyty,
Bócik kształtny, czerwony, i słucki [3]) pas lity.
Na piersiach za kontuszem pektoralik [4]) złoty,
Przy nim lśniący łańcuszek misternej roboty,
Trzcina z dziadkiem kościanym: sygnecik maleńki,
Przedślubny jeszcze datek kochanej Kasieńki.
Wszystko w nim narodowe: czapka, wąs, czuprynka,
Pod szyją, jakby gwiazda, z parangonu [5]) szpinka;
Nakoniec karabela, co Szwedów pamięta,
A jak w sercu, tak w uściech zawsze prawda święta.
Takim jest nasz pan Wojski; już z twarzy wyrazu
Wszystkie przodków twych cnoty wyczytasz od razu.
Głową on kompromissów i sejmików lumen,

Zna i dzieje krajowe, i legum volumen;
Ma sporą sylvam rerum [6]), stare kordy, zbroje,
Wreście się za piwniczkę nie powstydzi swoję;
Ma czem przyjąć sąsiada, uczcić przyjaciela,
Ma kielich po Auguście i beczkę Popiela [7]).

Ale nie on sam tylko Podstolstwo odwiedzi,
Po prawéj jego zacna magnifika siedzi;
Z rodu, cnót, konnexyi dama znakomita,
Zawołana gosposia i Polka zabita —
Przybrała się, jak zwykle, na wyższą wizytkę,
W manele [8]) i mitenki [9]), lankotki [10]), lewitkę [11]),
W agażanty [12]) z forbotem, kornet z fontazikiem,
Balsamkę [13]) za gorsetem i perły z krzyżykiem.
Ma w swéj konsyderatce [14]) wszystkiego po trosze,
Ma książeczkę z koronką, dla ubóstwa grosze,
Dla dziateczek Podstolstwa z pierniczkami paczkę,
Larendogrę [15]), różaniec, chustkę i tabaczkę.

Jadą, dąży pospieszna szóstka koni zwinnych,
Z tylu hajduk Franciszek, sługa z lat dziecinnych,
Stoi tam zawsze czujny na głos Pana, Pani,

A smagłym słynny biczem stary Wach furmani.
Gracko on i ogniście umie państwo wozić,
Wie kiedy siwki zaciąć — wie kiedy pogrozić;
Żadna w gąszczu tak zręcznie nie przemknie się żmija,
Jak nasz Wach i *odsiebie i k'sobie* wywija,
Z Bogiem on się do każdej podróży sposobi,
Nie ruszy, nim przed końmi biczem krzyżyk zrobi:
Zjeżdża z winnym respektem panom orderowym,
Biskupom, Infułatom i wozom żniwowym;
Ależ wara pijakom, zwłaszcza żydom wara!
Nie Wach to już na ów czas, lecz jakaś poczwara,
Łaje Pan, krzyczą Żydy, on jak Jędza sroga
Smaga niecne Kaimy — mordyasze Boga.

Nie taką jest gorączką hajduk, kumotr Wacha,
Stary, zwinny famulus, choć nieco rubacha.
Rozłóż mu wszystkie skarby, usyp góry złota,
Grosza nawet poczciwa nie dotknie prostota.
W panu on tylko swoim żyje i istnieje,
Pan się smuci, on smuci, pan śmieje, on śmieje.
Słońce to uczciwości w tysiąc cnót ozdobne,
Przecież równie jak słońce ma swe plamki drobne

Ledwie, że Pan rozpocznie dyskurs obiadowy,
Jużci się i Franciszek wtrąca do rozmowy;
Zawsze z jakąś nowinką lubi przybyć z rana,
Nigdy bez dykteryjki nie rozbierze pana,
Z najmniejszego on płotkę uprzędzie pozoru,
Nosi ją z dworu na wieś i ze wsi do dworu.
Gotów przysiądz na wszystko, nawet na rusznicę,
Że jadącą na miotle widział czarownicę.
Żegna się, kiedy sowę w pośród dnia spostrzegnie,
Żegna się, kiedy zając drogę mu przebiegnie;
Ziewając nawet zwyknie usta palcem żegnać,
By chcącego w nie wskoczyć djabełka odegnać.
Szkoda przytem, że wielki bibosz jest z Franciszka,
Ożenił się on z flachą, przyrosł do kieliszka;
O piątej czasem z rana już ma czub zalany!
Lecz cóż ma Wojski czynić? nadto z nim spętany,
Dziadek jeszcze u dziadka służył za hajduka,
Później Ojciec u Ojca, a dziś wnuk u wnuka.
Dwa to dęby z jednego pnia wyrosłe społem,
Z tą różnicą, że jeden w niebo sięgnął czołem,
Szeroko się konary rozgałęził swemi,
A drugi jak wilk prosty pozostał przy ziemi.

Cmoknie nagle, podcina konie Wach ochoczy,

Żwawo się turkocąca taradajka toczy;
Wojski w dobrym humorze, Franciszek szczęśliwy,
Patrzą razem na pola, zżęte na pół niwy;
Cieszą ich mnogie garście i obfite snopy,
Pozostałe z soboty przeliczają kopy.
Ręczą obaj za pewność jutrzejszej pogody,
Wychwalają ciągnące krów i owiec trzody,
Unoszą ich skaczące młode wołki, źrebce;
A Jejmość sobie z cicha swój paciorek szepce.
Wzmaga się coraz żywsza z hajdukiem rozprawa,
Często Wach na głos pański z taradajką stawa;
Lata dzielny Franciszek, zwinny, wierny służka,
To śpiącego przy bydle przebudzić pastuszka,
To spojrzeć czy granicznych nie nadpsuto kopców,
To z grochu Podstolego powyganiać chłopców.
A gdy wraca za pojazd, Pan zwolna, nieznacznie
Na wiejskie plotki, baśnie, wyciągać go zacznie;
Poduszcza go na Wacha, do żartów podwodzi,
Powaśnia stare kumy i znów obu godzi.
Bawi go głupstwo sługi, bawi gniew małżonki,
Co nie może od śmiechu domówić koronki.

Ale już widać szczyty Podstolstwa zaciszy,
Krześlata krętej dróżce wierzba towarzyszy,

Co ciągle obcinana i znów obrośnięta,
Pięćdziesiąte już może rodzi prawnuczęta;
I tak wierzch swój zielonym umaja obwodem,
Jakby starzec marzeniem strzelający młodem.
Ciągną się, jakby hufce w tłumne szyki zbite,
Lemieszowych wojaków chaty mchem pokryte.
Każda z nich płotem chróstu broni się na przodzie,
Ma w bocznej straży szopkę—stodołkę w odwodzie.
Stoją głównym korpusem, jak czworobok spory,
Pańskie stajnie, owczarnie, gumna i obory;
Browar nawet wojennym ustawiony planem,
Śpichlerz tam magazynem, karczma markietanem.
Wzbija się ponad wszystkich, jakby wódz dostojny,
Dwór o wielkim kominie, kitą dymu strojny;
A jakby na sztandarze zagonowej chwały,
Na wzniosłym szczycie wiązu sterczy bocian biały.

Wjeżdżają wreście w bramę, godło gościnności,
Która ciągłem roztworem zda się wołać gości.
Grzmi, tętni taradajka, już zdala słyszana,
Z turkotu swego w całej okolicy znana.
Wszyscy się nagle od swych zrywają stolików,
Od kupców[16]), maryaszów, kasztelanów, cwików,
Kawy! kawy przyrządzić! woła Podstolina,

A Podstoli galopem każe przynieść wina.
Trzaska stangret, zajeżdza szóstka dzielna, żwawa,
Wysiada z wolna Wojski i na stopniu stawa,
Wita wierszem łacinskim zacnego sąsiada,
Sąsiad mu *ex abrupto* drugim odpowiada,
Śmieją się i w potężne ujmują ramiona,
Pan Szymon Pana Piotra, a Pan Piotr Szymona.
Biorą damy i wiodą dziećmi obskoczeni,
Xiądz Dziaduś exjezuita, czeka na nich w sieni,
Której przestwór ogromny, tak szeroki, długi,
Że mógłbyś w niej bezpiecznie dom wystawić drugi. —
Zniża się do nóg Wojskiej służebna Barbara,
Kłania się Pan Dyrektor, dyga Madam stara,
Ruch i rwetes po domu: pędzą do swej pracy
Stary Grzegorz piwniczy, szafarz Bonifacy;
Uwija się klucznica, krząta, szuka, pyta,
A tym czasem się z Wachem drugi wąsal wita,
Ściskają się hajducy, na tabaczkę proszą,
I chyłkiem po za dworem do karczmy wynoszą.

Edgar i Celina.

(naśladowanie z Szyllera.)

Tkliwą siostrę znajdziesz wemnie,
W nagrodę twojej czułości,
Nie zasmucaj mnie daremnie,
Nie żądaj innej miłości.
Uspokój twoje cierpienia,
To ci zostało jedynie,
Bo na twe żale, westchnienia,
Nie wolno patrzeć Celinie.

Słyszy to Edgar z zdumieniem,
Ciężki żal w sercu zamyka,
Silnem ją żegna ściśnieniem,
I na bystrym koniu znika.

Wszędzie odgłos wojny szerzy,
Wszystkie swe roty gromadzi;
Z krzyżem na piersiach rycerzy
Do świętej ziemi prowadzi.

Iluż tam laury okryty,
Wznosił się sztandar ich chwały,
Lśniących chełmów gęste kity
Groźnie w bojach powiewały.
Liczne hufce Muzułmana
Ręka Edgara przemogła,
Cóż gdy ciężka w sercu rana,
Niczem się zgoić nie mogła.

Rok cały zniósł te cierpienia,
Lecz już dłużej znieść nie zdołał;
Daremnie szukał ulżenia,
Próżno spokojności wołał,
Wsiada więc w okręt i płynie,
Do lubej wraca krainy,
Tam gdzie po cichej dolinie,
Ulata oddech Celiny.

I przed jej zamek przybywa,
Trzykrotnie w bramę uderza,
Ale o wieści straszliwa,
Z którą przyjmują rycerza:
Już ona twoją nie będzie,
Złożyła śluby dozgonne,
Wczoraj przy świętym obrzędzie
Przyjęła szaty zakonne.

Rzuca więc ojców podwoje,
By do nich nigdy nie wrócił,
Ni na konia, ni na zbroję,
Już więcej okiem nie rzucił.
Zrzekł się chwały wojownika,
Chce żyć w świecie zapomniany,
W smutnej szacie pustelnika
Zszedł w dolinę niepoznany.

I na przeciw owej góry
Wzniósł dla siebie domek mały,
Gdzie stare klasztorne mury
Z ciemnych świerków przeglądały,

Tam chwile ranne, wieczorne,
Dni całe smutny przebywał,
Ciągle się w okno klasztorne
Z cichą nadzieją wpatrywał.

Patrzył od samego ranka,
Patrzył z swéj smutnej zaciszy,
Aż się ukaże kochanka,
Aż brzęk jéj okna usłyszy.
Aż ujrzał drogą Celinę,
Aż wreście słodka, nadobna
Wychyliła się w dolinę,
Samemu niebu podobna.

Chętniej spoczął w nocnej dobie,
I zasypiał spokojniejszy,
Już się skrycie ciesząc w sobie,
Ciesząc na ranek jutrzejszy.
I tak siedział rok za rokiem,
Nie żalił się, nie narzekał,
Zawsze tęsknem patrzył okiem
I na brzęk jéj okna czekał

Az ujrzał drogą Celinę.
Aż wreście słodka, nadobna,
Wychyliła się w dolinę
Samemu niebu podobna.
I tak jednego poranka
Ujrzano zwłoki siedzące,
I martwe oczy kochanka,
Jeszcze w jéj okno patrzące.

Brzoza Gryżyńska.

do Jreni.

Lubisz urocze wiejskich marzeń kwiaty,
Przyjmij więc jeden w ofierze;
Pierwsza to gadka Wielko-Polskiej chaty
W szaty się rymu przybierze.

Nie żądaj po niej świetnego ubrania,
W proste się barwy przystroi;
Skromne są ludu naszego podania,
Skromny im wierszyk przystoi.

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiej ziemi,
Kościół świętego Marcina,
Głośnie on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła,
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoję obudzi;
Zkąd polubiła ten pobyt żałosny,
Gryżyńskich spytaj się ludzi,

Onego czasu, lecz któż wie lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecie i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swej mogiłce leżał,
Antoś, matczyna nadzieja,
Kiedy w tem kopacz do księdza przybieżał
I tak ztrwożył Dobrodzieja:

„Jakieś nam licho na cmentarz się wdarło,
„Próżno człek strzeże i czuwa;
„Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
„Wciąż rączkę z grobu wysuwa.“

Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska,
I trzykroć żegna, i zmawia pacierze
I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnej klęczy mogile;
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo powraca za chwilę.

Budzi się rączka tajemniczej siły,
Wzrusza swój wzgórek grobowy,
I znów z zielonej wyrasta mogiły
Bieluchna jak śnieg majowy.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy wszyscy już staną do koła,
Tak się odzywa do matki:

„Co w syna twego dzieje się tu grobie,
„Ja ludzką myślą nie schwycę,
„Samej to tylko wiadomem jest tobie,
„A więc wyjaw tajemnicę."

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy,
Gdy w tem strasznemi zaklęta słowami,
Tak się wśród jęku tłomaczy:

„Kara to mojéj matczynej ślepoty,
„Bóg mi złem za złe odmierzył;
„Synek ten memi popsuty pieszczoty,
„Raz mię w swym gniewie uderzył.“

„Bierz więc tę rózgę i chłoszcz rękę syna.“
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
„Ziemskiej on się tu kary dopomina,
„Aby wieczystej uniknął.“

„Uderz!“ zawoła — i silnem ramieniem
Matka do grobu ciągniona,
Odwraca oczy i z ciężkiem westchnieniem
Okropnej kary dokona....

I patrz! zaledwie rózczkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój cofa, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska,
Rózczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiośnie
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościółek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walą się dęby, całe walą lasy,
A brzoza stoi, jak stała.

I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie,
I coraz dalej i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiej brzozie.

Góra poznańska.

Słuchajcie gadki starożytnej treści,
Słuchajcie sercy waszemi;
Któż wie, jak długo te stare powieści,
Będą w waszej brzmiały ziemi?

Kiedy Bolesław świętą szerząc wiarę,
Ciemne wykorzeniał wieki,
Strącał i kruszył Polan Bogi stare,
W nurtach szumnéj topił rzeki.

Miłoż to było pociągnąć oczami
Po wielko-polskiej krainie;
Cała się w koło zwieńczyła krzyżami,
I z gór wyrosły świątynie.

W dźwięcznych się zdrojach rozpływało wszędy
Religijnej śpiży brzmienie,
Wszystkiemi drogi, na nowe obrzędy,
Lały się ludu strumienie.

I ciągnąc w boje dzielne hufce państwa,
Grzmiały hymn Boga-Rodzicy,
A szczerbiec słońcem ranku chrześciaństwa,
W Chrobrego jaśniał prawicy.

Nie mogło piekło tyle ścierpieć blasku,
Tryumfu króla i wiary;
Takim więc grzmotem czartowskiego wrzasku,
Straszliwe rykły pieczary;

„Wstrzymajmy Wartę, przetniejmy jéj wody,
„Niech wzrosną w morze topieli;
„Zanurzmy wszystkie świątynie i grody,
Zalejmy krzyża czcicieli!“

I wichry w jarach, wilki w puszczach wyją,
Głębsza noc czernieć zaczyna,
Drzące się gwiazdy za chmurami kryją,
Wybija duchów godzina.

Snują się — bielą w okropnéj ciemności,
Huczą puszczyki i sowy;
Słychać w kostnicach chrzęsty ludzkich kości,
Trupie przemawiają głowy.

I gdzie tę górę, zwaną kopcem Nij,
W pogańskiej czczono ślepocie;
Gdzie sprosne kłęby i wężów i żmij
I okropnych ropuch krocie;

Gdzie czarne świerki, gdzie ów wiąz spruchniały
W ostatnim listku już kona,
I wciąż ku niebu, jak nędzarz zgłodniały,
Uschłe wyciąga ramiona,

Jakiż tam hałas i krzyki radosne,
Jakiż szum, szelest po puszczy?
Z wszystkich ziem Polski lecą czarty sprosne,
Do wściekłej łączyć się tłuszczy.

Pędzi, przypada Rokita sromotny,
I Smułka potwór dziwacki,
I czarny Węglik i Boruta psotny,
I okropny Widoracki.

Leci i wyje czarny duch za duchem,
Kupi się poczet szatański,
I wielkim ramion złączonych łańcuchem,
Otacza kopiec pogański.

I trzykroć szumnym okrążywszy lotem,
    Z dzikim go wrzaskiem opada,
Ciągnie, oddziera, wykorzenia z grzmotem,
    I na spiekłe barki wkłada.

I hura! hura! z wściekłym leci rykiem,
    Jak groźną niesie nawałę;
Nocne się ptaki rozpierzchają z krzykiem.
    Okropnem widmem zdumiałe.

Z wszystkich stron wichry szumnym lecą hurmem,
    W rozległej huczeć równinie;
I bory strasznym rozrzucają szturmem.
    A góra płynie i płynie.

I grom za gromem, błysk za błyskiem goni,
    Rozświeca larwy piekielne;
A choć od ludzkiej nie dotknięte dłoni,
    Wciąż jęczą dzwony kościelne.

Pędzi i pędzi zgraja przeraźliwa,
I góra wichry przegania,
Szumi nad puszczą, nad Obrą przepływa,
Dosięga murów Poznania.

I już, już widzą, dopadają Warty,
Cieszy się tłuszcza zajadła;
Gdy w tem kur zapiał, i prysnęły czarty,
A góra w miasto upadła.

Zatrząsł się Poznań, na pół w gruzach runął,
Czarna pękła nawalnica;
Skoczył nurt rzeki i wstecz się odłunął,
Zadrzały Gniezno, Kruszwica.

I długo, długo liczne echa grzmiały,
Jakby setne rykły burze;
A gdy dzień błysnął, zbiegł się lud struchlały,
Zjawionej dziwić się górze.

I przez lat wiele, mimo nowej wiary,
Straszliwym była przestrachem,
Aż na nią wstąpił nasz Mieczysław stary,
I świetnym zwieńczył ją gmachem.

Licznym on szturmem, licznym łupem męztwa,
W wojennych wsławiał się latach,
Wzniosłe tam psalmy i hymny zwycięztwa,
Po złotych brzmiały komnatach.

I coraz, coraz bujniej w państwie młodem,
Wzrastały wiary nasiona,
Aż krzyż zbawienia nad całym narodem
Święte rozciągnął ramiona.

G i e r m e k.

(Spiew historyczny. Rzecz wzięta z Niesieckiego.)

Smutnie w Polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Podbił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Spoczywały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojowniki.

Gdy w tem siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:

„Mile gadka dawnej treści,
„Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
„W starych czasów to powieści,
„Stara dzielność się ukrywa.

„Był czas, gdyśmy za przedmurze,
„Za tarcz ludom, światu stali;
„Był czas, gdyśmy wschodnie burze
„Piersią naszą odpierali.

„Lasem polskich dzid, narody
„Zasłaniane od podboju,
„Wynucały pieśń swobody,
„Pieśń miłości, pieśń pokoju.

„Naszym hymnem był szczęk broni,
„Trąb wojennych dzikie dźwięki,
„Wrzawa bitew — grzmot pogoni,
„I rozległe rannych jęki.“

„Złoci wieczór łan Podola,
„Ciągną wojska, tabor, wozy,
„Tętnią całe lasy, pola,
„Stoją groźne dwa obozy.

„Z jednej strony sztandar wiary,
„Siwy hetman, młodzież dziarska,
„Z drugiej wściekłość, krew, pożary
„I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
„Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
„Słońce krwawym zaszło blaskiem,
„Bój to będzie straszny, krwawy!

,,Ledwie pierwszy mrok zapada,
,,Polski hetman kord przypasze,
,,Z młodym giermkiem na koń siada,
I objeżdża czaty nasze.

,,Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
,,Słucha gwaru, rżenia koni,
,,Pyta, zważa — ognie liczy,
,,I już w myśli łamie — goni.

,,O nie ciesz się wodzu stary,
,,Zmienne wojny są koleje,
,,Nie tak łatwo to z Tatary;
,,Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!

,,Hura! hura! pędzi horda,
,,Nocny napad w obóz leci,
,,Giermek za broń, wódz do korda,
,,Na koń, woła, na koń dzieci!

„Spieszą — biegną do swych szyków,
„W pośród nocnych pędzą cieni;
„Gdy w tem z grzmotem nowych krzyków,
„Zewsząd czernią otoczeni.

„Tną i walczą na przebicie,
„Rąbie hetman, giermek łamie;
„Całą młodość, ogień, życie
„W wojujące przelał ramie.

„I już słyszą, słyszą w dali,
„Jak nadbiega polska wiara;
„Ale już ich nie ocali,
„Już nie wyrwie z rąk Tatara.

„Wzięty giermek, hetman wzięty;
„Krzyczy, huczy motłoch dziki;
„Bucha gniewem Han zacięty,
„Patrząc na swe niewolniki.

„Wre i zemstą ryczy srogą,
„Każe jednem skuć żelazem
„Nogę giermka z wodza nogą,
„I tak obu więzić razem.

„Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
„Na wysokie gwiazd sklepienia;
„Ale na cóżbym wam nucił
„Ich boleści, ich marzenia?

„O kto nigdy pęt nie nosił,
„Kto nie jęczał w wrogów mocy,
„Strawy swojej łzą nie rosił,
„Nie przetęsknił długich nocy;

„Kto w pół-dzikim, podłym tłumie
Nie wlókł ciężkich lat niedoli;
„Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
„Jak jest gorzkim chleb niewoli!“

I na chwilę, marząc smutnie,
Wieszcz ucicha.... łzę wylewa,
I znów nagle trąca w lutnię,
I tak dalej gra i śpiewa:

,,Zasnął hetman siwobrody,
,,Zasnął, jakby między swemi;
,,Nie śpi, czuwa giermek młody,
,,Długo o swej duma ziemi.

,,I łza tryska mu z źrzenicy,
,,Żal i rozpacz serce tłoczy;
,,Gdy w tem nagle w swej ciemnicy
,,Zapomniany topór zoczy. —

,,Patrzy, duma, drzy i marzy,
,,Serce szczytnym ogniem płonie,
,,Wielki w duszy zamiar waży,
,,Topór w obie chwyta dłonie;

,,I podnosi ręką śmiałą,
,,Mężnie ku swym pętom zwróci,
,,Tnie — odcina nogę całą,
,,I hetmana swego cuci.

,,Wolnyś, rzecze, straż zaspana,
,,Uchódź, ocal twą krainę;
,,Spiesz i pobij wojsko Hana,
,,Ja z radością tutaj zginę.

,,Powstał hetman i wzniósł dłonie,
,,Rzewnemi się łzami zalał,
,,Żegnał, Boskiéj zdał obronie,
,,Ścisnął, uszedł i ocalał.

,,I straż nagle z snu się zrywa,
,,Wieść ucieczki wodza szerzy,
,,I sam wreście Han przybywa,
,,I załedwie oczom wierzy.

„Długo, długo wzrok swój wryty
„W śmiałych topi mu źrzenicach,
„Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

„I odpycha wszystkie straże,
„Cnota dzikość zwyciężyła;
„Każe leczyć, darzyć każe,
„I do Lachów go odsyła.

„W świetnem dworzan, wodzów gronie
„Szkarłatnemi szaty odzian,
„Siadł król Polski na swym tronie,
„Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

„W miejscu nogi prosta kula
„Ujmującą postać wspiera,
„I dwór cały się rozczula,
„Z szmerem dziwu nań spoziera.

„I dwaj wiodą go rycerze,
„Kornie przed tron przystępuje;
„Król z wezgłowia szczerbiec bierze,
„I rycerzem go pasuje. —

„Gdy w tem w pośród wodzów koła
„Hetman nogę niesie złotą;
„Oto herb twój! — król zawoła,
„Wysłużony twoją cnotą.

„I porywa dłoń rycerza,
„Wśród okrzyków ludu wiedzie,
„I przed ołtarz pański zmierza,
„I sam klęka z nim na przedzie.

„O blask, chwałę swych orężów,
„Korne w niebo dłonie wznosi,
„I o więcej takich mężów
„Dla ojczyzny swojej prosi."

Tu dźwięk lutni mdlał, upadał,
Coraz głuchszem cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swojem wzbudził pieniem.

Chłop i djabeł.

(Powiastka gminna z nad Warty)

Dziwiąc się djabeł zmyślnej chłopa głowie,
    Zaczął i dumać i marzyć:
Ot! wiesz co, chamie! tak do niego powie,
    Pójdźmy razem piwo warzyć.

Pójdźmy, rzekł Szymczak — i już kocieł grzeje
    Na tęgie piwo się sadzi;
Warzy i warzy, miesza — spuszcza — leje,
    I ot cały war już w kadzi.

Dzielmy się teraz, djabeł się odzywa;
Szymczak działu nie odmawia;
Dzielmy się, rzecze, i wierzch bierze piwa,
A djabłu drożdże zostawia.

Źle coś! czart woła, zmieńmy więc umowę,
Posiej mi ziarno na grzędzie:
Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
A co z wierzchu, mojem będzie.

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście;
Wschodzi, rośnie plon wzbujały,
Przyszło do działów — djabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę,
Widzę, że jesteś mędrzejszy;
Lecz jeszcze jedno — rzucajmy się w górę,
A ujrzym, kto z nas mocniejszy.

I porwał, wstrząsnął i z takim zamachem
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart schwycił przy ziemi.

Tęgiś, chłop rzeknie zbladły i zdyszony,
Myślałem, że już nie wrócę;
Lecz teraz kumie, pojdźno w moje szpony,
Niech i ja ciebie podrzucę.

I w pas go bierze i za róg pochwyca,
I tak w dwojgu rąk go trzyma;
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżyca
Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
Choć djabeł — pojąć nie zdoła;
Aż wreście gdy się znudzi, zniecierpliwi,
Czego tam ślepisz? zawoła.

Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
Nie chcę cię rzucać daremnie;
Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże,
Co cię odbierze odemnie.

Co? ryknie djabeł — czyś głupi? szalony?
Wydarł się z ręku Szymczaka,
I jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło urznął drapaka.

Biedna Marynia.

(naśladowanie.)

Czarnem wśród nocy nękana marzeniem,
Przed snami nawet zmuszona uciekać;
Wstała Marynia, i z ciężkiem westchnieniem
Poszła na górę, wschodu słońca czekać.
Na pierwsze całej natury ocknienie,
Tkliwie się w gnieździe ozwał ptaszek mały,
Matka mu słodkie niosła pożywienie;
Oczy Maryni łzami się zalały.

O jakże, rzekła, szczęśliwie żyjecie,
Czemuż ja nigdy matki mej nie znałam;
Nic nie mam mego na tym wielkim świecie,
Kołyski nawet nie miałam.

Na tym kamieniu, u drzwi tej kaplicy,
Tu mnie znaleźli porzuconą srodze,
Tu ja z tej wioski do Boga Rodzicy
Po łzy pociechy przychodzę.

Nikt mię tam w swojej nie chce znać rodzinie,
Nikt cierpiącemu sercu nie odpowie,
I żadne dziecie w tej całej dolinie
Siostrą mię swoją nie zowie.

Widzę ich z dala wieczorne uciechy,
Patrzę na ojców i matek pieszczoty;
Ale nikt do swej nie zawoła strzechy,
Biednej, nieszczęsnej sieroty.

Tutaj więc — tutaj idę z łzami memi,
Kaplico! ty mi świat ten zastępujesz,
Ty mi się jedna otwierasz na ziemi,
Ty mię jak córkę przyjmujesz.

Ileż ja razy nad tym głazem płaczę,
Tu gdziem przez matkę porzuconą była;
Patrzę, czy śladu łez tych nie obaczę,
Które tu może roniła.

Nieraz ten cmentarz błędną zwiedzam nogą,
Co w innych wzbudza tyle uczuć rzewnych,
Ale cóż groby obchodzić mnie mogą,
Ja i w grobach nie mam krewnych.

Ach! połóż koniec mojemu cierpieniu,
Nigdyż cię, nigdy nie ujrzę w mem życiu?
Wróć matko! czekam cię na tym kamieniu,
Gdzieś mię rzuciła w powiciu!

Na tem umilkły jej skargi i żale,
I wszystkie razem cierpienia i troski,
I już jéj odtąd nie widziano wcale,
Ani na górze, ani w pósród wioski,
Mówią w niéj tylko że po kilku latach
Jakaś nikomu nieznana niewiasta
Z zakrytą twarzą i w żałobnych szatach,
Przybyła skrycie z dalekiego miasta;
Z łzami o cmentarz pytała wieśniaków,
Poszli z nią pełni uczynnej ochoty,
Lecz już nie mogli w pośród traw i krzaków
Rozpoznać grobu sieroty.

9

Swięty Izydor.

(Legenda wiejska.)

Przypisana w hołdzie WJmci Xiędzu Borowiczowi wydawcy szkółki niedzielnéj.

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnej góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojéj wierze,
Za poczciwy grosz nabywał. —

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozpowiadał: —

„O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnéj tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie ztąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem;
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem,
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do taczek;
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;
Wszystko święty zniosł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziéj go bolały,
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały,

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwszych szereg długi;
Zniósł bo wiedział, że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi. —

I raz pan ów bez sumienia,
Podwojną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzągł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdey trudnej porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża kląkł w pokorze,
I gorąco błagał, prosił. —

Głowę w świętej chylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swej niedoli:
Gdy w tem w koło okiem rzucił,
Jakaś jasność! woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! dziwy!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty,
Tak prościuchno i tak ładnie,
Nie ma bicza rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy w tem anioł promienisty,
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza, pas ognisty
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;
Ginąc takie słowa głosi.
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi.“

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tem samem miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem mnóstwo zlało ludu.

Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora,
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreście,
Chłopka tego w pomoc wzywa.

Pan Przyjemski.

Cudo! cudo! jest w Koźminie.
Pan Przyjemski w trumnie leży,
A choć drugi wiek już płynie
Przecież zawsze czerstwy, świeży.

Groźna postać, wąs obfity,
Lica pełne i rumiane;
Kontusz, żupan i pas lity,
Wszystko jakby wczoraj wdziane.

Zkąd to cudo? ztąd dowodnie,
Że tam klasztor obdarował,
Żył wciąż z boskiem prawem zgodnie,
Za kraj, wiarę swą wojował.

Ztąd to życie tak zwodnicze,
I ten wyraz wojownika,
Że choć trupie już oblicze,
Jeszcze trwogą lud przenika.

Tak on wielką cześć tam budzi,
Że i tknąć się go nie ważą;
Lecz nietrudno o złych ludzi,
Co najświętszą rzecz znieważą.

Przybył Niemczyk płochy, dumny,
Niewierzący w prawdę cudu,
I zbliżywszy się do trumny,
Zaczął szydzić z trwogi ludu.

Smiał się z trupa, bluźnił, broił,
Jakby w czarta się przeradzał,
Z pasem, kordem żarty stroił,
I na bakier czapkę wsadzał.

Lecz gdy tak się nad nim srożył,
Że aż wąsy targnął siwe,
Trup się wzruszył i roztworzył,
Oczy wielkie i straszliwe.

I tak ostry i tak srogi
Wbił mu w duszę gniew żrzenicy,
Że nasz Niemczyk skościał z trwogi,
I z grobowéj zbiegł ciemnicy,

I biegł, przebiegł staj tysiące,
Leciał zbladły, zadyszały;
Lecz mu wszędzie te iskrzące
Oczy drogę zabiegały. -

I znów leciał w las głęboko,
    Gdzie go pędził strach nadziemski;
Lecz i tam mu oko w oko,
    Patrzył straszny Pan Przyjemski.

Pędził z burzą i wichrami,
    Przez wsie, miasta, góry, rzeki;
Aż nakoniec za morzami,
    Gdzieś tam znalazł zgon daleki.

Lecz i w ten czas, gdy mu lice
    Śmierć bieliła, krzepło ciało —
Jeszcze jakby dwie gromnice,
    Dwoje przed nim ócz gorzało! —

Edward.

(Ballada z staro-szkockiego.)

Czemuż twój oręż cały krwią oblany,
Edwardzie, Edwardzie?
Czemuż twój oręż cały krwią oblany,
Czemuś smutny, zadumany. O!

O ja zabiłem mojego sokoła
Matko, matko moja;
O ja zabiłem mojego sokoła
Żaden mu zrównać nie zdoła, O!

Lecz krew sokołów nie jest tak czerwona,
Edwardzie, Edwardzie!
Lecz krew sokołów nie jest tak czerwona,
Powiedz z kogo wytoczona. O!

O ja zadałem śmierć memu koniowi,
Matko, matko moja,
O ja zadałem śmierć memu koniowi,
Poczciwemu cisakowi. O!

Koń twój był stary, jużeś go porzucił,
Edwardzie, Edwardzie!
Koń twój był stary, jużeś go porzucił,
Nie on to ciebie zasmucił, O!

O ja zadałem śmierć ojcu drogiemu,
Matko, matko moja,
O ja zadałem śmierć ojcu drogiemu;
Biada, biada sercu memu. O!

I jakąż sobie pokutę nakażesz,
Edwardzie, Edwardzie!
I jakąż sobie pokutę nakażesz,
Czemże synu winę zmażesz. O!

Opuszczę ziemię i na okręt wsiędę,
Matko, matko moja,
Opuszczę ziemię i na okręt wsiędę
Po morzach tułać się będę. O!

A cóż z twym zamkiem, z wieżami się stanie,
Edwardzie, Edwardzie!
A cóż z twym zamkiem, z wieżami się stanie,
Z takąś dumą patrzył na nie. O!

O niech się walą, niechaj w proch obrócą
Matko, matko moja;
O niech się walą, niechaj w proch obrócą,
Moje tam nogi nie wrócą. O!

Cóż z żoną, z dziećmi stanie się w tej porze
Edwardzie, Edwardzie!
Cóż z żoną z dziećmi stanie się w tej porze,
Gdy ty popłyniesz na morze. O!

Świat jest szeroki, niech żebrzą i płaczą,
Matko, matko moja!
Świat jest szeroki, niech żebrząi płaczą,
Mnie już nigdy nie zobaczą. O!

A drogą matkę, gdy syna pozbawisz,
Edwardzie, Edwardzie!
A drogą matkę, gdy syna pozbawisz,
Powiedz, cóż jéj pozostawisz. O!

Klątwę ci z piekłem zostawi zabojca
Matko, matko moja!
Klątwę ci z piekłem zostawi zabojca,
Bo z twéj rady zabił ojca. O!

Rozbicie okrętu.

(Legenda hiszpańska.)

Miotany gniewem nawały
Rozbił się okręt o skały,
I w morskim tonął odmęcie;
Jedna tylko łódka była,
Cząstka się na nią schroniła,
Reszta została w okręcie. —

I już drobna pędzi nawa,
Gdy w tem nagle z krzykiem stawa:
„Zabierzmy księdza do łodzi!“

Lecz ten w pośród groźnych toni
W świętej szacie, z krzyżem w dłoni,
Na brzeg okrętu wychodzi.

„Płyńcie, rzecze, bracia mili,
Dzielnieście bliźnich bronili,
Wdzięczna was przyjmie kraina.
Nie dla mnie łódki zachrona:
Wasza powinność skończona,
Moja się teraz zaczyna."

Rzekłszy to, w okręt zstępuje,
Ginących na śmierć gotuje,
Godzi, wzmacnia, cieszy w zgonie.
Wtem przyklęka, zniża głowę,
Wznosi hymny pogrzebowe,
I z wszystkiemi razem tonie.

Ciche dziecie.

(z podania gminnego.)

Mówią, że gdzieś chodzi w świecie,
Jakieś dziwne, ciche dziecie;
Dziewczyneczka to jest mała,
Twarz jéj śniada, suknia biała,
Wzrok ma dziwny i uroczy,
Jakieś martwe, trupie oczy.
W polne maczki się przybiera,
Po cmentarzach kostki zbiera,
Krwawą chustą głowę słoni,
Czarny pręcik nosi w dłoni,

A gdzie idzie tam jéj ramie
Wszystkie kwiatki niszczy, łamie;
A gdzie przejdzie, tam i w wiośnie
Trawka nawet nie porośnie. —
Próżno człek ją pyta, bada,
Sama tylko z sobą gada,
Jakieś straszne, dzikie słowa,
Których ludzka nie zna mowa.
Raz ją chłopek jakiś trącił,
Zaraz mu się mózg pomącił,
Ręka w krótkiej uschła porze,
I powiesił się gdzieś w borze.
Tak po świecie, jak po grobie,
Drobna mara chodzi sobie;
Słucha miłych sobie dźwięków,
Pogrzebnego dzwonu jęków;
A po miejscach, co przemija,
Cień jéj krwawo się odbija.
I nikt nie wie, zkąd przybywa,
Patrząc na nią dreszcz przeszywa.
Zimno grobów od niéj leci,
Mówią że to — mor na dzieci!

H a l k a.

z gminnéj powieści, z okolic Poznania

„Czemuż po tej świętej niwie
Zbierasz kwiatki tak skwapliwie?“
Rzekł do Halki dziad kościelny;
„Co się zrywa na cmentarzu,
To się składa na ołtarzu,
A dziś właśnie dzień niedzielny.“

Nie staruszku, dziewcze woła,
Nie zrywam ich dla kościoła,
Innym razem go ozdobię.

Dziś ja z rady dobréj matki,
Na to swięte zbieram kwiatki,
By w nieszczęściu pomódz sobie.

Pierwsza niegdyś z dziewic grona,
Urodą Zosi zgaszona,
Straciłam serca młodzieńcze,
Mówią, że szczęściem obdarza
Kwiat zerwany w sród cmentarza,
A więc dziś się nim uwieńczę.

Nie kłopoc się, dziadek rzecze,
Już ci żaden nie uciecze,
Gdy w tem szczęścia widzisz tyle!
Wszystkie kwiaty uzbierane,
Dla zgaszenia Zosi rwane,
Rwałaś je — na jéj mogile. —

Na śmierć Karpińskiego.

Zgasłeś więc stary bardzie, pełen lat i chwały,
I ta lutnia, którą ci dawne wieszcze zdały,
Którą wzniosłe Dawida powtarzając dźwięki,
Smutne własnej ojczyzny dołączałeś jęki,
I nęcąc z wrzawy świata do wiéjskiey prostoty,
W niezgojne rany ziomków lałeś pokój cnoty;
Już niestety wraz z tobą ucichła wieczyście!
Leży jeszcze w laurowe przystrojona liście,

Lecz jak wyschłego zrzódła umarłe już łoże,
Żalem nawet po tobie przemówić nie może.

Karpiński! któż ją teraz z rąk twych odziedziczy,
Któryż wieszcz zrówna twojej prostocie, słodyczy?
Każdy dźwięk twój po całym narodzie zasłynął,
Jak tkliwy żal dzieciny w wszystkie serca płynął,
Powtarzały go nasze lasy, pola, wioski,
Koił się ciężki smutek, uciszały troski;
Biegła miłość wieśniacza z pod swej niskiej strzechy
Usłyszeć swoje trwogi, żale i pociechy;
Rolnik nawet na wszystkie niedole skazany,
Patrząc na zaniedbane ojców swoich łany,
Zniszczony krwawą wojną i wszystko straciwszy,
Zanucił twoję piosnkę i orał szczęśliwszy.
Tak z naszym Kazimierzem chwałę podzieliłeś:
On był królem wieśniaków, ty ich wieszczem byłeś.
Nie miała twoja ziemia wdzięku obcych krajów,
Tych powabnych miłości i poecie gajów;
Nie przybrały jéj losy w te świetne obrazy,
Te grzmiące wodospady, te olbrzymie głazy,

Te twory niepamiętnych przyrodzenia zdarzeń,
Cuda czarów z krainy wywołane marzeń;
Nie zatruł przecież duszy twojej niesmak podły,
Ni cię wdzięki ziem obcych od twojej odwiodły,
Tyś nigdy świętych serca uczuć nie przytłumiał,
Tyś i niepiękną Polskę tkliwie kochać umiał;
Dość miała dla twej duszy wdzięku i ozdoby,
Że się na niej wznosiły stare ojców groby,
Że świetna rodu twego okryła ją chwała,
I że mowa Zygmuntów po jéj polach brzmiała.
Samo nawet nieszczęście sam jéj zgon tak krwawy,
Te rozpierzchłe sny szczęścia, wielkości i sławy,
Te łzy, gruzy, zwaliska i ten los zaciekły,
Tkliwym dla cię urokiem jéj ziemię powlekły.
Ztąd to niskie jéj kmiotków opiewając chaty,
Znalazłeś na jéj niwach nieśmiertelne kwiaty;
Nie potrzeba ci było do polskiego rymu,
Brać obcych nam obrazów od Aten i Rzymu,
Dość ci farb dostarczały nasze łąki, pola,
Nasz pasterz, nasze wiosny i nasza niedola!
Iluż wieszczów w ten zawód z tobą biegło razem
Ten świetnym złotych wieków łudził nas obrazem;
Ci z pieszczeńszych wyrazów gładszy rym toczyli
Ten spiewał jak Teokryt, tamten jak Wirgili;

Tyś sam wieniec nagrody zyskał przed wszystkiemi
Bo i w pieniu twem byłeś wierny twojej ziemi. —
I jakże ci nie miało lutni podać w dłonie,
To tak miłe twym przodkom rodzime ustronie,
Ten dąb co cię w dzieciństwie swoim cieniem darzył,
Pod którym może ojciec o twem szczęściu marzył;
Ta młodą się nadzieją zieleniąca niwa,
Te pod błyskiem twych sierpów ścielące się żniwa,
Te nakoniec wieśniaki, na twój głos tak tkliwe,
Jeszcze jak Piast orzące i jak Piast poczciwe;
Ten Bóg wreście, co od nich zbrodnie miast odsuwał,
Który to wszystko stworżył i nad wszystkiem czuwał.

Ale nie dość ci było Poety imienia,
Całem życiem stwierdzałeś szczerość twego pienia.
Tak kiedy ów tłum wieszczów, co się w miastach chronił,
Nęcił nas do tej wioski od której sam stronił;
Tyś każdy los podzielał z wieśniaki twojemi,

Razem żył, razem cierpiał, razem płakał z niemi.
Tyś ich w trudach pokrzepiał, ty boleść łagodził,
I wskazując w niebiosa z ziemią ich pogodził. —

Spoczywaj, zacny bardzie, w twoim cichym
grobie
Wśród tych kmiotków tak znanych i tak miłych
tobie,
Przy starych twoich sługach, mogile sieroty...
Zgodzą się wasze prochy, jak zgadzały cnoty;
A ty Polsko, coś jego okryła się chwałą,
Złóż mu na tym grobowcu lutnię oniemiałą;
Może kiedyś gdy wietrzyk swym chłodnym powie-
wem,
Stojącem nad mogiłą zaszeleści drzewem;
Spadkiem liści jesiennych przebudzana mile,
Zapomnianym już brzękiem ozwie się na chwilę;
A gdy ją dojdzie kiedyś odgłos polskiej chwały,
Z popiołów nawet swoich wyda dzwięk wspaniały.

Matka dó Córki w dzień zaślubin.

Już więc na drogę tylu powinności
Wzywa cię twojej godziny wybicie,
I z tak pięknego snu twojej młodości
W rzeczywiste woła życie.

Na nowe losu wstępujesz koleje,
(Do tych czas szczęścia i niebios kochanka)
Niesiesz w nie nowe troski i nadzieje,
Z pamięcią twego poranka.

Idź gdzie cię twoje przeznaczenie woła,
Opuszczaj progi rodzinnej ustroni;
Niebo łzom matki oprzeć się nie zdoła,
Tarczą cię swoją osłoni. —

Nie samo szczęście wróżyć ci przychodzę,
Nie ciebie złudzą marzenia tak zwodne,
Nie same kwiaty na tej znajdziesz drodze,
Nie zawsze słońca pogodne.

Jak gdy dwóch lutni połączone głosy,
Jednym brzmią smutkiem, szczęściem lub nadzieją,
Tak się i wasze myśli, czucia, losy
Odtąd w jedno życie zleją.

Najmniejsza troska wzajem cię poruszy,
I na łzę każdą, łzą odpowiesz twoją,
Każda się radość podwoi w twej duszy,
Ale i smutki podwoją.

Są jeszcze inne płci twojej przymioty,
Okryte cieniem domowej zaciszy:
Są te ofiary, są te ciche cnoty,
O których świat ten nie słyszy.

Nigdy ich ludzka pochwała nie głosi,
Nie zawsze nawet do wdzięczności skłonią;
Nieraz łza cicha oko twoje zrosi,
I tej ci może zabronią.

Poznasz jak nasze niepozorne życie,
Najtrudniejszemi zasłane przeszkody;
Poznasz jak często potrzeba kobicie
Być cnotliwą bez nagrody.

Lecz czegóż piękne serce nie dokona,
Kornie się z twardą powinnością godzi;
I mężnie z samej przeciwności łona
Rozkosz cnotliwych wywodzi.

Da ci to szczęście, ta słodycz, łagodność,
Co zawsze duszy twej była ozdobą,
I ta powaga i ta piękna godność,
Co sama czuwa nad sobą.

Lecz wszystkie szczęścia i wszystkie przymioty,
Tyle ci twojej nie osłodzą doli
Jak kiedy twoje błogosławiąc cnoty,
Bóg ci być matką dozwoli.

Czeka cię córko to imie wspaniałe;
Któryż blask świata zrównaćby mu zdołał?
Bóg ziemskiej matki uwieczniając chwałę,
Na tron Ją nieba powołał.

Wszystkie nadzieje, wszystkich marzeń roje,,
Wszystko ci w twojem powróci dziecięciu;
Cały świat pociech, całe szczęście twoje
W matczynem zamkniesz objęciu.

A gdy i w ten czas jaka chwila sroga
Lotną ci życia zatruje godzinę,
Pomnij, że każda, nawet szczęścia droga,
Idzie przez ziemską dolinę.

Szczęście i Pokój.

I.

Szczęście i pokój!.. dziwne, ciemne słowa,
Jakaż to was nieznana utworzyła mowa?
Próżno jéj szukam w świecie, wieków, dziejów py-
tam,
Po grobowcach najstarszych ludów śledzę, czytam...
I ci co nią mówili i ona wraz z niemi
Bez śladu, bez wspomnienia zginęła na ziemi. —
Wy się tylko jedyne tu po niéj ostatki,

Błąkacie jak sieroty zapomnianej matki;
Brzmicie jeszcze w powietrzu, lecz już nikt na
świecie
Ni pojmie, ni odgadnie co znaczyć możecie.
Ciemną nocą was wieki okryły niezwrotne,
Zgasłym gwiazdom podobne, hieroglify lotne!
A jeźli kiedy człowiek tą marą się łudzi,
Że śpiącej wśród was myśli jakąś cząstkę budzi,
Nic się tutaj przed jego nie snuje oczami,
Coby mógł z wami równać, lub też nazwać wami.
Tyle mu tylko wasze powiadają brzmienia,
Ile powiew wietrzyka, dźwięczny głos strumienia,
Szelest listka, brzęk pszczoły, lub słowicze jęki.
W pierwszej świata młodości rozumiane dźwięki.

II.

Zkądże przecież ten urok czarujący, boski,
Tak silnie z was przemawia tajemnicze zgłoski,

Że ledwie was zasłyszy już się serce wzrusza,
Z głębi swojéj zbolała odpowiada dusza,
Jakieś błogie istnienie przeczuwać się zdaje,
Świetniejsze przez mgłę ziemską przewidując kraje
Nie — nie, wy nie jesteście dziećmi naszej ziemi,
Dla was usta człowiecze nie dość są czystemi,
To powietrze zbyt grube — gwiazd, słońca lub nieba,
O źrzódło waszych dzwięków zapytać by trzeba;
Z anielskich może hymnów uronione brzmienia
Spadłyście na tę ziemię w pierwszym dniu stworzenia,
I jak ten ranek świata wdzięczne, czyste, nowe,
Całą może Edenu składałyście mowę,
Lub też miłość, w uroczych niewinności latach,
Wymarzyła was sobie w swoim śnie na kwiatach,
Jak echa drogich imion, zgodne serc dwóch bicia,
Jak dwie zorze nadziei na ciemnem tle życia,
Roże, gwiazdy wieńczące rysy młodociane,
I kochanki i Bóstwa, w jeden obraz zlane.

III.

Sprzeczności ziemskich rzeczy! ciemna! nie-
przenikła!
Któż kiedy tę splątaną twoję sieć rozwikła?
Gdy dla tych płonnych dźwięków, dziwnych słów
— daremnie
Odpowiednich im uczuć, myśli, szukam wemnie;
Ileż to w głąb mej duszy zwrocone spojrzenia,
Dostrzegają tam myśli, uczuć bez imienia;
Ileż takich co ciągle w sercach ludzkich śpiące,
Już przespały i jeszcze prześpią lat tysiące,
W zbyt głębokiem i ciemnem leżą tam ukryciu,
By mogły w tem tak krótkiem przebudzić się
życiu;
Cichy sen ich, godniejszych krain, światów czeka,
Tam pod słońcem wieczności wykwitną z czło-
wieka,
Tam wszystko, z najciemniejszych zarodów wy-
tryśnie,
I każdy odcień duszy jasnym dniem zabłyśnie;
Tam z czystych, nieśmiertelnych dźwięków zlana
mowa.

Przybierze je nakoniec w swoje boskie słowa,
I te których na ziemi pojąć tu nie umiem,
Tam może poznam *pokój* i *szczęście* zrozumiem!

Jako Pan Gadulski wnuczce swojej dawne miłostki opowiada.

Nie taka miłość, wnuczko kochana,
Za moich czasów tam była;
Miłość ta *Bożą wolą* nazwana,
Z wolą się starszych godziła.

Gdy się w kim krasą urodnej dziewki
Strzelisty affekt rozniecał,
Nim jeszcze do niej smalił cholewki,
Ojcu się wprzódy zalecał.

A ojciec czekał, co rzeknie matka,
I stryjów zdania gromadził;
Pytał o wolą babki i dziadka,
Jezuity zwłaszcza się radził.

Innym też w ów czas był gust niewieści,
Chłystek się w serca nie wnęcał;
Dawniejszy luboń miał lat trzydzieści,
I już wąs dobrze zakręcał.

Stricte on, stricte wprzód się wywodził,
Myśląc o pannie lub wdówce,
I z swego herbu i kto go rodził,
Co miał w sperandzie, w gotówce.

Kto chciał być miłym oczom Bogdanki,
Chełmem się, zbroją okrywał;
Taki to tylko swej Imościanki,
Rękę i serce zdobywał.

Chwackiż to gaszek był w dawnych latach,
Musiał przy pannie się zwijać;
I na ognistych sadzić bachmatach,
I kulę kulą wybijać.

Musiał on gracko uciąć mazura,
I srebrną krzesać podkówką;
Musiał w powietrzu rozebrać kura,
A gęsto machać krzyżówką.

Największych nawet kluczów dziedziczka,
Mogłaż tam uciec z serduszkiem,
Kiedy tak szczerze spijał z trzewiczka,
A zawsze pełno i duszkiem.

Zagrzmiała trąba, błysnął proporzec,
Ruch, rwetes w całej krainie,
On głaszcząc wąsik przed stary dworzec
Na dzielnym przypadł turczynie.

Nie mdlała panna, ni z trwogi bladła,
Scisła dłoń zbrojnej prawicy;
Złote mu serce na szyję kładła,
Z obrazkiem Boga-Rodzicy.

I odtąd co dzień u stóp się Bóstwa,
Z koronką w ręku modliła;
I sama piekła chleb dla ubóstwa,
Niedziołki nawet suszyła.

A gdy znów Siwosz przed dworca progiem
Pod dzielnym zagrźmiał młodzieńcem;
Z całem swem szczęściem padła przed Bogiem
Z wstydliwym wyszła rumieńcem.

On jej o bitwach krwawych i dziarskich,
O wodzu-królu powiadał;
A całe snopy szablic tatarskich,
Przed nogi ojca jej składał.

I w krótce, w krótce w wiejskim kościółku
Kapłan ich ręce zjednoczył;
A dziaduś z wnuczką na jej wesółku,
Po raz ostatni podskoczył.

Lecz gdzież te czasy, co niegdyś były?
Zbiegły, ach wiecznie już zbiegły;
W sercu tej ziemi, na dnie mogiły,
Wraz z starą cnotą poległy!

Boga-Rodzica.

Wytężona modłami, wzbiciem zachwycenia
Zadźwiękła świętość duszy w boskim apostole;
Wylał się strumień hymnu, i jak zdrój zbawienia
Brzmiącym prądem opłynął wielkie sławian pole.

Zagrzmiały nim świątynie i cały ród Lecha,
Przed hufcami Chrobrego wrzał jak huk nawały;
Kamienne go Krępaku pochwyciły echa,
I zagrawszy nim ziemi, niebu go przesłały.

I pierwszy raz Bóg słyszał dźwięk sławiańskich głosów
Jak w bezdenne błękitu wzbijały się tonie;
Gwiazdy się roztąpiły — i na tle niebiosów
Marya, w ludów polskich zabłysła koronie.

Wszystkie góry tonęły w wonnym ofiar dymie,
Mościł się lud potężny pod Jej boskie stopy;
Wojak na swym orężu rył Jej święte imie,
I podniebne Jej gmachów łupem wieńczył stropy.

Gdziekolwiek Jej ołtarze sławą cudów wzrosły,
Ciągnął w śpiewnych pielgrzymkach lud Chrystusa
nowy;
Matki, Matce niebieskiej drobnych sławian niosły,
I o progi Jej świątyń biły królów głowy.

Boga, Boga Rodzica! w całem brzmiało państwie,
Boga, Boga Rodzica! lud i kościół śpiewał;

A jak szumny nurt Wisły pędzi po sławiańskie,
Tak się nad niem w powietrzu wielki hymn przelewał.

I tak długi czas było — i czas ten upłynął,
Bladła wiara i język nowe przybrał zmiany;
Z znikłą czucia prostotą i ten hymn zaginął,
W świątyniach nawet pańskich wybrzmiał zapomniany.

Zamilkł ów osiwiały rodzic wszystkich pieśni,
Ów pierwszy w niebo żeglarz z dziedzin polskiej ziemi;
Zamilkł — j w zacney szacie swiętey czasów pleśni
Zstąpił w grób starych wieków i pokrył się niemi.

Chwała tobie Gnieźnieńska bazyliko, chwała!
Arko święta, ludowi twemu wiecznie droga,
Tyś mu to w twej kamiennej piersi przechowała,
Pierwszy dźwięk jego lutni, pierwszy głos do Boga.

Hymn twój przebrzmiał przez wszystkie wieki tej krajny
Na jej grobie brzmi nawet, dawną wiarę wskrzesza
Tak nas ciesząc, jak Judy rozproszone syny,
Gdzieś tam z za gór przeszłości stary głos Mojżesza!

Dźwięk to pierwszy tej Polski, jako niebios córy,
Głos anioła przez tysiąc lat do nas dowiany,
Co się łamał o wieki, sław i nieszczęść góry,
I jeszcze o serc naszych odbija się rany.

Pieśń to matki nad ludu kołyską śpiewana,
Pierwiosnek sarmackiego maju chrześciaństwa
Hostya przez pierwszego wzniesiona kapłana,
Swietna tęcza na grubej ciemnocie pogaństwa.

Ożył! ożył na nowo, zlany łzą cierpienia,
Ów kwiat, dziecie pierwszego wiary naszej wschodu;
I ten zgasły łuk tęczy znów się rozpromienia,
Oparty na kołysce i grobie narodu.

Cały lud ten na nowo swej Maryi woła,
Woła, błaga łez głosem i śpiewem żałoby;
Boga, Boga-Rodzica! wołają dokoła
Brzęk kajdan, puszcze wygnań i rozległe groby!

O nie daj, nie daj cichnąć hymnu twego dźwiękom
Wznoś go stara świątyni, w dawnej wierze, cześci,
Któż wie, może się naszym ulituje jękom,
Niegdyś nasza Królowa — dziś Matka boleści!

G w i a z d y.

Urocze kręgi! światłem nieśmiertelnem lśniące,
Górnego oceanu wyspy gorejące,
Czemże jesteście? — ileż to wieków uleci,
Nim całą noc tajemnic ludzka myśl prześwieci!
Byłże ten błękit, waszym dziś obsiany żarem,
Pustym tam kiedyś tylko i nagim obszarem?
Złoteż to prochy ziemskiej sławy tam dobiegły
Iskryż to wielkich myśli na tych niebach legły
Lub też duchy w powietrznych ważące się świa-
tach,
W tych słonecznych nad nami przepływają szatach

J patrząc na tę ziemię, na niebios sklepienia,
Mierzą te dwie otchłanie — przepaści stworzenia!
Jnnemi się mądrości wydajecie oku,
Przesłała swe rachuby aż w kraje uroku,
Z czarownej ich osłony odarła lazury,
Rozum, złote ich kwiaty, koronę natury
Zwarzył lodem rozwagi; i te co wprzód były
Wyrocznią, Bóstwem ziemi w martwe zarzekł bryły.
Są przecież, są i będą owe dusze rojne,
Dziewiczej swej ufności jeszcze kwiatem strojne,
Co rzewną pieszcząc myślą drogą życia marę
Szczytnej na was prostoty zawieszają wiarę;
Ku wam, jakby z wygnania, sercem, myślą dążą,
Tajemniczem się z wami pokrewieństwem wiążą,
I tak tesknią, jak matki już umarłej dziecię,
Co ją czuje nad sobą, w wyższym marzy świecie,
I w każdej swej niedoli i duszy potrzebie,
Myślą — błogosławieństwa jéj ściąga na siebie.
Zkądże — zkądże ten pociąg? zkąd te mary śmiałe?
Miłość — szczęście — geniusz — sława — ludy całe,
Wszystko ma tam swą gwiazdę, i w lubym obłędzie
Z uroczych jéj promieni nić swych losów przędzie.
Człowieku! może niemi na tem górnem niebie
Bóg zapisał tę przyszłość, która czeka ciebie;

Może, iż ta wyrocznia niedościgła, wieczna,
Ta odpowiedź tak ważna i już ostateczna,
Na wszystkie twoje skargi, przeczucia, nadzieje,
Może przed twojem okiem codziennie jaśnieje.
Ale któż ją przeczyta? kto jéj treść wybada?
I kto te rozrzucone wyrazy poskłada?
Gdyby nawet i złożył, czyżby je zrozumiał,
Lub dźwiękiem ziemskiej mowy wysłowić je umiał?
Tonie w wirze domysłów myśl Bóstwo głębiąca,
Leci w przepaść przepaści, przecież dna nie trąca —
A wątpliwość, do duszy wdarłszy się ogniska,
Chwyta ją w piekło lodu i swym mrozem ściska.
Ach! odwróć wzrok badawczy i zniż go ku ziemi,
Wszędzie widzisz granice, a ciemność za niemi;
Nie wydzieraj się nigdy nad zakres pojęcia,
Idź śmiało drogą życia z ufnością dziecięcia;
A jeźli, jeźli kiedy w nieba wzniesiesz oczy,
W ten szczytnych, nieśmiertelnych marzeń świat uroczy,
Bierz przykład z jego świateł i jak one w górze
Po tym czystym, bezkresnym płyną tam lazurze,
Tak i ty zawsze w ziemskim postępuj zawodzie,
I drogą przepisaną — i w ciszy — i w zgodzie.

Do Xiężnej Izabelli Czartoryskiej,

przesyłając niewidomego.

Do twych podwoi, Xiężno litościwa,
Do tej zwyczajnej nieszczęścia zachrony,
Z zgaszonym wzrokiem, nocą otoczony,
Smutny młodzieniec przybywa.

Usłyszał zdala te głosy wdzięczności,
Z któremi nędza z twych progów odchodzi,
Taż sama nędza, ten sam Bóg litości,
I jego tobie przywodzi.

W dwoistej wiosnie — w maju życia — roku
Na młodość jego wiatr nieszczęścia wionął;
W samej żegludze do krain uroku,
W morzu ciemności zatonął.

Drogę swą niegdyś tak jasną, uroczą,
Straciło serce pełnią życia wrzące:
Błędnem się kołem gwiazdy duszy toczą,
Za światłem, ludźmi goniące. —

O z jakąż żądzą każdy promień piły,
Nim się tą czarną ślepotą zawarły;
Raz jeszcze ziemię i niebo zmierzyły,
I patrząc w matkę — zamarły!

Cofnął się w siebie, i jak w żywym grobie
Z zimną boleścią w długie zamknął lata;
Samotny więzień — uwięziony w sobie,
W świecie, a przecież — bez świata.

Nieszczęsny!.. już mu w tej nocy wieczystej
Nigdy i nigdy słońce nie zabłyśnie,
Nie ujrzy nawet i tej łzy tak czystej,
Którą z twych oczu wyciśnie.

Do Boga.

z Mura.

Któżby o Boże wytrwał na tej ziemi,
Któżby potrafił swym losom wydołać;
Gdyby się z troski, łzy i rany swemi,
Nie mógł do ciebie odwołać.

Dajesz przyjaciół w dniach szczęścia i chwały,
Lecz z przyjściem nieszczęść znikają nie-
zwrotnie;
I ten któremu same łzy zostały,
Musi je wylać samotnie.

Ty jeden wszystko twoją goisz dłonią,
Ty każdą stratę, każdy żal łagodzisz;
A jak kwiat z rany swojej tryska wonią,
Tak z cierpień słodycz wywodzisz.

Gdy wszystko w życiu zwiędnie po kolei,
Gdy i ta przyszłość, co na chwilę zwyknie
Łzy nasze iskrą rozjaśniać nadziei,
Już się zaciemni i zniknie.

Któżby nie upadł w ciężkim życia boju,
Kto zniósł te szturmy czarnéj nawałności,
Gdybyś Ty z góry, gałązki pokoju
Nie przywiał skrzydłem miłości?

W ten czas to boleść, wzniesiona przez Ciebie
Przejaśnia nawet sam blask zachwycenia;
Jak ciemność światy odkrywa na niebie,
Które dzień oczom zacienia.

T e s k n o t a.

(z Szyllera.)

Kiedyż więc, kiedyż z tej smutnej doliny,
Którą mgła zimna swym obłokiem ciśnie.
Odkryję wyjście do innej krainy,
Kiedyż mi dzień ten zabłyśnie?

Tam w dalekości wybija się góra,
Siedlisko wiecznej młodości i wiosny;
Czemuż mi skrzydeł nie dała natura,
Tambym uciekał radosny!

Słyszę te pienia tak czyste, tak zgodne
I tak spokojną natchnione rozkoszą;
Na lekkich skrzydłach wiatry mi łagodne
Tameczne wonie przynoszą.

Wszystko tam żyje i kwitnie wieczyście,
Nieznane tam są ni zima, ni noce;
Widzę jak zdala przez ciemne drzew liście,
Złote mię nęcą owoce.

Pięknież tam, pięknie musi być zaiste,
Gdzie słońce wieczną swą jasność rozlewa;
I to powietrze jak wonne i czyste,
Które tam w górze powiewa.

Lecz któż tę wodę przepłynąć jest w stanie
Co się przedemną z takim szumem leje;
Piętrzą się wały, czarne wrą otchłanie,
Przelękła dusza drętwieje.

Jedna się łódka przy brzegu kołysze,
Lecz któż przewiezie? ach, nie masz sternika!
Prowadź nadziejo! — szelest żagli słyszę....
Prowadź słabość śmiertelnika. —

Potrzeba wierzyć — nie lękać się trudów,
Zasługę wiary nagrodzą niebianie;
Mieszkaniec ziemi do krainy cudów,
Cudem się tylko dostanie!

Na Powązkach przy grobie żony.

Jakież życie otacza ciche śmierci pole!
Kilka kroków przedziela płochość i niedolę.
Ja nad drogim mi grobem łzy rozpaczy ronię,
Tam wszystko kwitnie szczęściem i radością płonie.
Ach! ileż tam obrazów próżności przelata,
Z całym dymem i wrzawą nawalnicy świata;
Grzmią rydwany stołeczne wzdłuż murów cmentarza,
Nie wstrzyma ich płacz sierot, ni prożba nędzarza,
Jak gdyby nie mijali umarłych dziedziny,

I nie tu spoczywały ich ojce i syny.
O żono, droga żono, matko moich dzieci —
Może mnie tam niejeden błąd w twych oczach
szpeci,
Możem nie dość twym cnotom winnej składał cześci,
Niedość kwiatów pociechy wplatał w cierń boleści,
Tej jednej przecież krzywdy nie wyrządzę tobie,
Bym łzy żalu na twoim nie zostawiał grobie;
Niechaj inni od przykrych im pamiątek stronią,
I by uciec wspomnieniom, za nadzieją gonią —
Dla mnie całą rozkoszą opłakiwać ciebie,
Tu cię szukać mym żalem, a nadzieją w niebie!

W czasie pogrzebu.

Zabrzmiały z wież stołecznych ciężkie dzwonów jęki,
Szerzą się z świątyń pańskich religijne dźwięki;
Krociom ludu wieść głoszą bliźniego pogrzebu,
I błagalny żal ziemi przesyłają niebu.
Patrzaj! czyjaż to trumna nad ten tłum wzniesiona,
Długim rzędem kapłanów smutnie poprzedzona,
Zbliża się drogą śmierci do świątyni Boga?
Ach! patrzaj!.. ta straszliwa śmiertelnym przestroga,
Ten widok idącego do grobu człowieka,

Okropny głos sumienia: *„i ciebie to czeka“* —
W ileż to serc nieczystych wlały postrach zimny,
Ileż biesiad przerwały religijne himny!
Nie, nie ma serc tak srogich, zrodzić się nie mogą,
Któreby nigdy świętą nie zadrżały trwogą;
Cichną pienia światowe, i ta wrzawa w gminie,
W królewskich nawet gmachach głos pochlebstwa ginie,
I ty sławo, rozległym ścigana oklaskiem,
Coś świat ten nieśmiertelnym rozjaśniała blaskiem,
Czemże przy tym widoku twe świetne znamiona?
Więdnieją twoje laury, twoja wieczność kona,
Już nie kryślisz dzieł twoich po niebios sklepieniu,
Czarnym kirem okryta przelatasz w milczeniu;
Bóg przemówił — świat ucichł — człowiek się poznaje,
I z grobu zapomnienia Religija wstaje,
Wstaje, i z świętym wiary sztandarem się wzbija,
I znów go między niebem i ziemią rozwija;
I litość Najwyższego z górnych niebios czeka,
Na jedno czucie żalu — jedną łzę człowieka!

Ł z a.

O ty z anielskiej ulana czystości,
Łzo, kroplo boska, wyciśniona z duszy;
Słodki ulewie wezbranej rzewności,
Kogoż twój widok nie wzruszy?

Niebo nas twoim pocieszając tworem,
W głębi serc tajne wskazało ci źrzódło,
I z tamtąd skrytym prowadząc cię torem
Drogą spojrzenia wywiodło.

Jakże się czystą, jakże piękną rodzisz,
Wdzięcznem kochanki rozjaśniona okiem;
Ach! ty sam uśmiech dobroci przechodzisz
Piękności twojej urokiem.

W tobie to każde uczucie przemawia,
Miłość cię, litość, żal i radość łeje;
W tobie to prawda serca się wyjawia,
I promień cnoty jaśnieje.

Jak na uwitym z młodych róży wieńcu,
Drży wonna rosa, porankiem błyszcząca;
Tak ty na wstydu płonącym rumieńcu
Lśnisz się i cicha i drżąca

Tyś jest ostatnią niewinności bronią,
Ty skrapiasz wszystkie i wieki i stany;
Ciebie nędzarze, ciebie króle ronią,
Bo któreż serce bez rany?

O jak w tej ciężkiej życia nawalnicy,
Słodkiem, cudownem jest twoje przybycie;
Ledwie z wezbranej wytryśniesz źrzenicy
I jużci lżejszem jest życie!

Wraca odwaga, powracają siły,
Boską rozkoszą orzeźwia się dusza,
I do tych ofiar, co tak trudne były,
Zmężniałą cnotą się zmusza.

Piękny, wyłączny człowieka udziale,
Tobie tę cenę same dały nieba,
Ażeby wszystkich win przeważyć szalę,
Jednej łzy tylko potrzeba.

Bóg to, Bóg ciebie w naszą istność wsączył,
On to nas w twojej słodyczy przenika;
On to tak ścisłem ogniwem cię złączył
Z każdą dolą śmiertelnika.

Tobą świat wita, z tobą z świata schodzi,
I tobą każdy ślad życia oznacza;
Tobą się z sercem rozdwojonem godzi,
Tobą pociesza, przebacza.

Ciebie on czeka, gdy go boleść tłoczy,
Ciebie z serc wszystkich w zgonie przywoływa
I w ten czas nawet, gdy cię już nie zoczy,
Jeszcze cię na grób przyzywa!

Wieża Kruszwicka.

Do R. Berwińskiego, zbieraeza powieści Wielko-Polskich.

Jak król ruin omglony mrokiem tajemnicy,
Omszonej przedwieczności świadek skamieniały
Wznosi się groźny olbrzym prababnej Kruszwicy,
W czarnym wieków pancerzu i z koroną chwały!

Widzi w koło pomarłych czasów, ludów krocie
W dalekiem i już ciemnem leżące wspomnieniu;
Na nim orzeł Gnieźnieński w pierwszym spoczął locie
I Piast jeszcze dziecięciem w jego igrał cieniu:

Patrzył on w swej starości, jak po rzek potokach
Bito słupy żelazne, na wrogów postrachy;
Patrzył, jak w biegu wieków na lackich opokach,
Prawnuczych mu olbrzymów rodziły się gmachy.

Wszystkie padły — on stoi, przeżył nawet życie
Tej matki, co się sławą aż za gwiazdy wzniosła;
Jak Tatry przy sercowym skupione granicie,
Tak cała Polan przeszłość do niego przyrosła.

Stoi jakby Assarmot — lecz na grobie chwały,
Jak Adam Sarmacyi — już bez hołdu, cześci;
Stoi jakby Laokon rozpaczą zczerniały,
Wśród dzieci skrępowanych wężami boleści.

Szumią mu pieśń żałoby puszcz zamierzchłych knieje
Wiatr długie jęki wyje w wielkiem morzu łanów;
Gopło mu poruszone głośny żal swój leje,
I gromami rozpaczy gra lutnia orkanów.

Dołącz i ty gęśl twoję sławiański Ryszardzie;
Pojmiecie się w zawiecznym języku Sarmaty,
On ci starą swą gadkę młody powie bardzie, —
Ty mu z łzami zaśpiewasz wielki hymn zatraty!

Ułomek z poematu natury Lebręna.

Kiedy miłość w ostatniej już gaśnie iskierce,
I dumna sławy żądza już opuszcza serce;
Wszyscy w pola wracamy, wszyscy pola głosim,
I zbłąkane uczucia naturze odnosim.
Szczęśliwy, kto się wydrzeć z świetnych więzów zdoła,
Kto swe losy oderwie od fortuny koła,
Nie trudzi jej swym jękiem, zmiennych darów chciwy;
Lecz uprawia po ojcu pozostałe niwy.
Usuwając dni swoje z pod świadectwa ludzi,

Choć godniejszy zazdrości, mniej może jéj budzi,
Niż wtenczas, gdy się czołgał u królewskich
progów. —
Pól niewinność, człowieka przybliża do Bogów,
Tam wolny, śmiałą myślą, w schronieniu dalekiem
Rwie ten łańcuch przesądów, co się ciągnie z wiekiem —
Wiatrom porzuca błędne śmiertelnych zasady,
Całą ciemność przyszłości i jéj postrach blady;
W polach mędrzec się wznosi nad światowe burze,
Tam prawa starożytne wracając naturze,
W świętych duszy tajnikach godność swą odkrywa,
I z głębi swéj pustyni królów przed sąd wzywa;
A gdy zdziera z ich władzy mamiące pozory,
I wątłe ich miękkości obala podpory,
Te własne dzieła nasze, te bogi znikome,
Widzi przed sobą zgasłe i jak gmin poziome!
Tak podług stanowiska mienią się widoki,
Tak pasterz w swym spoczynku, widząc dąb wysoki,
Co w obłokach rozwinął swe czoło olbrzymie,
Mieszkańca górnych krain nadaje mu imie;
Lecz w oczach tego orła, co się wzbił nad chmury
I swem skrzydłem gwiaździste przerzyna lazury,
Pyszny dąb z poziomemi równa się rośliny,

I razem z niemi niskie ubarwia doliny;
Lecz ten dumny lot orła, co pod niebem krąży,
Ledwie znanym jest słońcu, do którego dąży;
A znów to samo słońce przed Boga obliczem,
Jest tylko jednym punktem, jedną iskrą — niczem!

D w ó c h   o j c ó w.

Dwiema drogiemi córy Bóg nas uszczęśliwiał,
Rozrzewniał ich skromnością, wdziękami zadziwiał;
Ale wkrótce w ich cnotach upodobał sobie,
Na obie razem spojrzał — razem zabrał obie!
Moja, wraz z gwiazdą szczęścia, co dla niej zajasła,
Z światłem ślubnej pochodni w oczach moich zgasła;
Twoja, murów zakonnych niewolnica święta,
Skryła się w nich na zawsze, z swym Bogiem zamknięta.

Stoim teraz nieszczęśni, obaj płacząc razem,
Ty przy kracie klasztornej, ja nad zimnym głazem;
Ty przynajmniéj na ulgę twojego cierpienia,
Słyszysz jeszcze twej córki religijne pienia,
Lecz moją — cóż mi zwróci? — ach próżno żal nowy
Z każdym rankiem przynoszę na jej głaz grobowy —
Próżno ją wołam — błagam — córką moją zowię —
Stukam — stukam i stukam — a nikt nie odpowie.

Do modlącej się.

O gdybym miał ten pędzel w tyle farb bogaty,
Którym wiosna najmilsze sobie barwi kwiaty,
Lub gdybym, aż w nadziemskie zasięgając życie,
W blasku gwiazd go unurzył i w niebios błękicie;
Możebym sztuką moją natury nie skaził,
I piękność twego oka choć w części wyraził.
Lecz wtenczas, gdy tak wdzięcznie ku niebu je-
wznosisz
Kiedy łzą religijną o litość je prosisz;
Gdy się w niem cała twoja młodość, piękność zleje
I już zda się, że zorzą wieczności jaśnieje;
Gdy wreście tak widocznie w twoim czytam
wzroku,

Że sam Bóg musiał twemu ukazać się oku;
Nie — tego żadna sztuka wyrazić nie zdoła,
Bez farb nieba, twej duszy i ręki anioła!

Do. . . .

Zacóż gonić za szczęściem po tej łez dolinie,
Gdy zaledwie schwycone, już na zawsze ginie;
I kiedy nic w tem życiu tak ciężko nie boli,
Jak gdy się znikłe szczęście przypomni w niedoli.

Zacóż gonić za szczęściem, które gdy się straci,
Już go żadne późniejsze sercu nie odpłaci;
Zawsze to, co już grobów okryło się mrokiem,
Milszym przez mgłę przeszłości nęci nas urokiem.

Zacóż gonić za szczęściem, gdy już życie mija,
W wiośnie się tylko serca, kwiat szczęścia rozwija;
Pod słońcem on młodości zakwita jedynie,
Raz on tylko wystrzela i na zawsze ginie!

Smierć Watela.

(nasladowanie.)

Kondeusz, co się niegdyś w tylu wsławił bojach,
Króla swego przyjmował w Szantylly podwojach;
Żaden mocarz na świecie, od swego książęcia
Tak wspaniałego jeszcze nie doznał przyjęcia.
Watel wszystkim, na wszystkie rozkazywał strony,
Nieśmiertelnego wodza marszałek wsławiony;
Wielkie chęci i zdolność nadały mu nieba,
Ale nie dość talentu, genijuszu trzeba.
Wszystko szło zrazu dobrze, porządnie i bacznie,
Watel patrzył z tryumfem jak król zjadał smacz-
nie;

Gdy w tem nagle z tą wieścią drżące biegną sługi,
Że dwóch pieczeń zarazem na stół brakło drugi.
Rzuca się Watel, biegnie przestraszony, zbladły,
Szuka pieczeń — lecz próżno, jak w piekło przepadły;
Krzyczy więc wpośród strasznych przekleństw i złorzeczeń;
„Jużem honor mój stracił — zabrakło dwóch pieczeń!
„Znikły wszystkie zasługi — laury powiędniały,
„Jeden dzień zgasił świetność tyloletniej chwały;
„Zdradziłem mą powinność, mój honor poniżył,
„A zwłaszcza Kondeuszów sławie tak ubliżył!“
Dochodzi wieść ta księcia, biegnie więc z pospiechem:
„Cóż czynisz, mój Watelciu,“ rzecze mu z uśmiechem,
„Nie gniewam się lecz owszem dziękuję ci szczerze;
„Przewyborną dla króla dałeś mi wieczerzę;
„W całej chwale zabłysła dziś twoja przewodnia,
„A wreście, brak dwóch pieczeń nie tak wielka zbrodnia!“

Ukoił się nasz Watel, łzami skruchy zalał,
I dobroć swego pana pod nieba wychwalał.
Ale wkrótce go stokroć sroższy cios dobija;
Mija noc, mija ranek i południe mija,
A z sandaczem, którego król na obiad żąda,
Napróżno tylu razem posłańców wygląda;
Lata więc, krzyczy, wrzeszczy, rwie włosy, rozpacza,
W całej wściekłości woła śmierci — lub sandacza,
Sama śmierć odpowiada! — Watel się nie chwieje,
Stawają mu na myśli i sława i dzieje.
„Kiedy nie ma sandacza,“ z straszną ryknie złością,
„A więc życie ochydą, a śmierć powinnością!“
To rzekłszy, oręż chwyta, do serca przymierza,
Uderza się, uderza i jeszcze uderza;
Pada — krew go ubiega. Lecz o wieczne żale —
Gdyby się był na chwilę wstrzymał w swym zapale,
Chwilę tylko zniósł jeszcze te srogie męczarnie,
Byłby ujrzał sandacza i nie zginął marnie!
Zaledwie, że wyzionął to szlachetne życie,
Już zewsząd rozgłaszają sandacza przybycie;

Szukają go, wołają, lecz o wielkie Bogi,
Cóż widzą? we krwi leży samobójca srogi!
O jakże postać jego rozbestwioną była,
Zdawało się, że straszna wściekłość go przeżyła,
Że się jakiś głos skryty z jego ran dobywał,
I silniej niż słowami sandacza przyzywał.
Mówią nawet, że kiedy po swym krwawym zgonie,
Przepływał już z Charonem wrzące Styxu tonie,
W Styxu nawet głębinę dzikie wlepiał oczy,
Czyli swego sandacza gdzieś na dnie nie zoczy.
Tak skończył groźny Watel, Kato, Ajax nowy,
Najzaciętszy z marszałków — Solon objadowy.

Droga Żelazna.

Szerszego życia żądzą naprzód gnany,
Człowiek z powietrzney wróciwszy żeglugi,
Spojrzał w świat ten nieprzejrzany
I jak świat ten wielki, długi,
Dwa bliźnie druty narzucił tej ziemi,
Wsiadł w rydwan pary i puścił się niemi.

Od pierwszej chwili stworzenia natury
Brzemienne kruszcem piętrzyły się góry;

Jak stare skarbce wieki wieków stały,
I na wielką myśl czekały.

I myśl ta błysła — zajaśniała słońcem
Człowiek lotnym pędzi gońcem,
Przestrzela ziemię zdumiałą;
Rydwan gromem — droga strzałą.
Leci — życie, czas potraja,
Grody, rzeki, morza spaja;
Zbliża się kres ku kresowi,
Łączą ludy, wiążą kraje,
Biegun bratu biegunowi
Sąsiednią rękę podaje.
Rzekłbyś, że Boga nakazem
Przewraca się postać świata:
Dziś się rozdwajał żelazem,
I dziś żelazem się brata.

Leć, leć własną gnany siłą,
Jaśniej w świetnem wieku dziele;
Każda z dróg twych wielką żyłą
W niezmierzonem świata ciele.

W każdej z żył tych, nurtem wrzącym
Ogień się życia przelewa;
Na każdym wozie lecącym
Sztandar wolności powiewa.

Pędzi, pędzi jak grom fali,
Uciekają lasy, góry;
Gdzieś tam za nim, w ciemnej dali
Zmordowane szumią chmury.
Ledwie ujrzał Alpy, Tatry,
Już go swym ogromem słonią;
Gonią za nim orły, wiatry —
Orły, wiatry nie dogonią!

Pędzi, pędzi w lotnym biegu
W wielką otchłań niezmierności;
Jak lawina, piorun śniegu
Wieść tryumfu, duch wolności:
Radość jego ogniem płonie,

Radby objąć ziemię całą,
Burza szczęścia tętni w łonie,
I każdy oddech nawałą!

Leć, leć, wiek twój z tobą leci,
Wiek potężny, wiek zapasów,
Co nad całą massą czasów
Lotnym meteorem świeci.
Wszystkich wieków myśli śmiałe
W jego myśl się zestrzeliły;
Wszystkie chwały, w jego chwałę,
W siłę jego, wszystkie siły.
On już mężem był z dziecięcia,
Krwią go ochrzcił Cezar nowy,
I ten ogień przedsięwzięcia
Wlał mu swemi czyny, słowy.
Wiek ten, stary świat pokona
Góry przeszkód w proch rozdrobi;
On w pracowni swego łona
Stu wieków przyszłość wyrobi.
On na wszystkie czasy, ludy,

Rozwinął skrzydła olbrzymie,
Leci — wielkie sypie cudy
I *Naprzód* mu imie!

Do Kochanki.

(z portugalskiego.)

Kiedy tak rzadkim dla miłości losem,
Czystem jej szczęściem poim się oboje;
O jakże wdzięcznym, jakże tkliwym głosem
Wołasz na mnie — *życie moje*!

Ale kochanko i młodość upływa,
I szczęścia nawet chwile mijać muszą...
Zwij mnie więc odtąd, zwij kochanko tkliwa
Nie twojem *życiem*, lecz *duszą*!

Ta mi nagroda przystoi jedynie,
Ta tylko sercu będzie dostateczna;
Życie przemija — *dusza* nie przeminie
Jak miłość moja, tak wieczna!

Odpis na wezwanie do pisania epopei, trajedyi, satyr itd.

Nie chcesz bym pełzał po ziemi,
Każesz w wyższe sfery wzlatać,
I tak zuchwale się bratać
Z Sofoklami, Horacemi.
Wszystkie razem wieńce chwały
Odwadze mojej przyrzekasz;
I gdzie hujał Pindar śmiały,
Tam gdzieś pod słońcem mię czekasz.
Chceszże w tylu razem płodach,
We wszystkich wieszcza zawodach
Upadku mego być świadkiem?

A gdybym ja też przypadkiem,
Lecąc przez powietrzne szlaki,
Natrafił na piorun jaki,
Coby mnie zgromił haniebnie,
Lub gdybym w ślepym zapale,
W samo słońce wpadł zuchwale,
I tam zgorzał niepotrzebnie!
Na takąż mnie to zagładę
Niebaczność twoja wystawia,
Takąż przyjaźń daje radę,
Takżeto serce przemawia?

Ale zkądże moję lutnię
Płocha wesołość porywa;
Zkądże, zkądże tak okrutnie
Dawnym się dźwiękiem odzywa?
Czyż niepomna mego losu,
I ona go nie osłodzi?
Czyż i ona swego głosu,
Już z mojem sercem nie zgodzi?
Ach! gdyby nawet na chwilę
Mogła w dawnej zabrzmieć sile,

Gdybym nawet wiersz odlewał,
Jakim Szekspir, Byron śpiewał,
Gdybym w sławnej krwi ubroczył
Melpomeny sztylet srogi,
Gdybym ojczyste półbogi
Hołdem stu wieków otoczył;
Cóżbym otrzymał w korzyści?
Listek lauru, liczne smutki,
Prace, szyderstwa, zawiści,
Wsławionego życia skutki.
Sława powabną ma postać,
Lecz jéj zawód jest zdradliwym,
Trudno nieśmiertelnym zostać,
Trudniej jeszcze być szczęśliwym!
Znałem ja niegdyś swobodę,
W której płyną lata młode;
Żadne pióro nie okryśli
Lat wiosennych omamienia,
Błąkały się młode myśli
Po wielkiem państwie marzenia;
Inne mi słońce świeciło,
Nie kryła go żadna chmura,
Wszystko ponętniejszem było,
Sława, ludzie i natura.

W wszystkiem się życia koleje
Z młodzieńczą rzucał swobodą;
Miłość, szczęście i nadzieje,
Wszystko duszą piłem młodą;
Jakby w miłości krainie
Życiem tylko serca żyłem,
I przez łzy szczęścia jedynie
Na świat ten — świat mój patrzyłem!

Czarowne kraje uroku,
Jakżem was spiesznie przepłynął —
I w jakże ciemnym pomroku
Świat mych omamień zaginął!
Zgasło szczęście, młodość zbiegła
Boleść w krwawej wrzała ranie,
Jakaż okropność zaległa,
Bezdenne myśli otchłanie;
Snuły się czarne widziadła
Po zwiędłej życia kolei,
W jednej się chwili rozpadła
Budowa tylu nadziei!
Próżno, próżno oczy moje

Na lube zwracam pamiątki,
Zbieram szczęścia mego szczątki,
Już ja z nich szczęścia nie spoję!
Już i lutnia oniemiała
Potarganych strun nie zgodzi;
Dusza boleścią zwiędniała
Dawnych uniesień nie zrodzi.
Nie — nie zwrócę wód potoku,
Dawnych marzeń nie odwołam,
Nie rozjaśnię duszy mroku,
Przed sobą uciec nie zdołam;
Bo od czego człowiek stroni,
To wryte wewnątrz człowieka;
A to za czem wiecznie goni,
Wiecznie od niego ucieka!
Niech cię nie zwodzi chęć sławy,
Co czasem we mnie powstanie;
Lub to wpośród świata wrzawy
Płoche rozrywek szukanie;
Nie wierz tym marnym pociechom,
Z których mnie żadna nie wzruszy,
Ni tym zmuszonym uśmiechom,
Co kłamią pokój mej duszy.
Są to owe kwiaty płonne,

Co już w poźną jesień wzrosną,
Wątłe, blade i bezwonne,
I udaną zwodzą wiosną.
Przyjdzie może chwila zmiany,
Gdzie od losu litośniejszy
Czas, co wszystkie goi rany,
I moję boleść umniejszy —
Ale ileż lat cierpienia,
Ileż łez mnie oczekiwa,
Nim się ta przyszłość leniwa
Doczołga z chwilą ulżenia!

Trzy mogiły.

Trzy góry znojem sypane narodu,
Lackiego Nilu piramidy wzniosłe;
Trzy groby z grobu ojczyzny wyrosłe,
Stoją w obliczu królewskiego grodu.

Stoją -- jak Bardy, co w przyszłość daleką
Sędziwą sławę swojéj głoszą ziemi,
Jak Alpy czasu, pomiędzy któremi
Przeszłość tak pełną przepłynęła rzeką.

Mieszczą się wśród nich całe lat tysiące,
I z pełnią chwały i z zagubą bratnią:
Słońce, chrobremu ludowi świecące,
Weszło nad pierwszą, zgasło nad ostatnią.

Do śqiewającéj Z.

Smętnie o twym nucisz losie,
Słyszę, jak łza drży w twym głosie,
Łzawym niebo skarżysz tonem.
Spiewasz serca twego kłótnie;
Spiewasz dźwięcznie, dumasz smutnie
O twem życiu rozstrojonem.

Lecz te głosy różnorodne
W ten czas tylko, gdy są zgodne,
Gdy się w jedno zleją brzmienie;
Gdy trafiają w swoje chwile,
Gdy w stósownej zabrzmią sile,
W ten czas tylko tworzą pienie.

Przelej — przelej w piersi młode,
Równie dźwięczną uczuć zgodę,
Zbytnie serca zniżaj bicia:
Podnieś piękne duszy brzmienia,
Wzmocnij ogień, żar natchnienia,
I utwarzaj z nich pieśń życia.

Chcesz, by piękny dźwięk wydało,
Chcesz, by szumnie nie wybrzmiało,
W płonnym i przykrym hałasie;
Umieszczaj trafnie, surowo,
Wszystkie czyny, każde słowo,
W swojem miejscu, w swoim czasie.

Żaden kwiat się nie rozwinie,
Żadne szczęście nie wypłynie
Z bujnych, dzikich uczuć wzbicia.
Z pięknej tylko miary, zgody,
Płynie błogość, dźwięk swobody,
Piękność śpiewu, piękność życia!

Próżność walki.

Są miejsca, których urocznego koła
Żaden syn ziemi uniknąć nie zdoła.
Niechaj przez tysiąc i lądów i toni,
Na krańce nawet świata się zagoni;
Los ciągle za swą dążący zdobyczą,
Ściągnie go swoją nicią tajemniczą,
I jakby siłą Boskiego ramienia
Zwróci go, stawi — w *miejscu przeznaczenia.*

Gwiazda spadająca.

— ∪ — ∪ — ∪ — ∪

. . . .

. . . .

— ∪ ∪ — ∪ ∪ — ∪

Patrzcie, patrzcie — gwiazda spada,
I już znikła w swym przelocie;
Jakby wiatrem dźwięk rozwiany,
Jak błysk uroczny spojrzenia.

Chwila temu, jak w jej blasku,
Sława świetnych wróżb szukała;
Jak ją rojny sen miłości,
Tkliwem okrążał marzeniem.

I już znikła, i te nieba
Niemniej płoną i jaśnieją,
I co wiecznie przetrwać miało,
Ginie bez śladu, wspomnienia.

Górny świecie! świecie cudów
I nadziei nieśmiertelnych,
Więc i twoich pięknych krain
Nieubłagana śmierć sięga?

Sięga do stworzenia źrzódeł,
Do stóp Bóstwa ściga życie,
I tak zwolna Wszechmocności
Okrąg cudowny rozbiera!

Jak ta złota niebios kropla,
Z Przedwiecznego urny zlana;
Tak te wszystkie światy runą,
W głębiach wieczności zatętnią.

Noc pierwotna, stara przyjdzie,
W dawnym wróci majestacie,
I ciemności wielkiem morzem
Pustość bezkresną zaleje.

I nie spłynie żadna arka,
Ni z nią nowy świat w zarodzie;
Cofnie się Tworzące słowo,
Zamknie w swym Bogu — na wieki!

Porównanie.

Miłość jest jak ten strumień w swym spadku gwałtowny,
Co się z źrzódeł nieznanych rzuca w kraj czarowny
Ileż się w nim nadbrzeżnych piękności odbija,
Ileż wdzięków go nęci — on wszystkie przemija;
I jeden tylko obraz, w czyste łowiąc tonie,
Zawsze toż samo słońce w swojem niesie łonie;
Z niem się chmurzy, rozjaśnia, lata, wieki płynie,
Z niem wszystkie mija losy i z niem w morzu ginie.

Tęsknota do boju.

(W czasie wojny greckiej.)

(*fragment.*)

Kiedyż więc rycerz zgnuśniały
W wrzawie krwawych walk odżyję?
Nigdyż się już słońce chwały
O mój oręż nie odbije?
Zgasłaż wszelka żądza sławy
W tylu wojowników tłumie;
I dla wielkiej świata sprawy,
Niktże już umrzeć nie umie?
Nie tak było w lat mych kwiecie,
Gdym w rycerskie wstąpił szyki:
Zewsząd po struchlałym świecie,

Grzmiały ciężkie Marsa ryki.
Licznym trupem wróg zalegał
Rozległe boju płaszczyzny,
Drugi Cezar je przebiegał,
I jam walczył dla ojczyzny.
Polska! Polska! — głos ten święty
Z tysiącznych serc się wylewał;
A jej sztandar rozwinięty,
Aż za morzami powiewał.
Któż mi zwróci te natchnienia,
Tę rozkosz młodej odwagi,
Kiedym stawał do pomszczenia
Rodu mojego zniewagi;
Gdy się z ciężkiem ziemi drżeniem
Tylu ludów bój zaczynał,
A każdem spiży zagrzmieniem
Mój mi naród przypominał.
Walcz! słyszałem z dział tysiąca,
Walcz! w odgłosie dawnej chwały,
Walcz! kryśliła krew płynąca,
Walcz! niebo, ziemia wołały!

Nie żądza to krwawych czynów
Odwagę moję zagrzewa;

Wyrzekłbym się tych wawrzynów,
Które łza matek oblewa.
Lecz niktżeto nie przyzywa
Męztwa mojego w obronę?
Jużżeto ziemia szczęśliwa,
Lub więzy Greków skruszone?
Cisną ich srogie tyrany,
I krew niewinna się leje,
A ja orzeł skrępowany
W podłym spoczynku gnuśnieję!
Grecy! Grecy! syny sławy,
Królujące w dziejach świata,
Czemuż, przebóg! waszej sprawy
Nie może wspierać Sarmata!
Któżby was lepiej zrozumiał,
Jak to wrzące Lecha plemie;
A kto silniej pomścić umiał
Jak ten, co stracił swą ziemię;
Co za wielkim idąc śladem,
Z waszych przodków brał nauki,
I może swoim przykładem
Przelał je znowu w ich wnuki!
Co pod Germanów stolicą,
Ścierał waszych wrogów szyki,

I już Sobieskich prawicą
Karał Greków najezdniki!
O dniu wielki chwały, męztwa,
Jakże tobą ród mój słynął,
Z jakimżeś blaskiem zwycięztwa
Do dawnych wieków popłynął.
Cała ziemia Leonida
Rozgłaszała plemie Lecha;
Sławą polskiego Alcyda
Grzmiały Termopilów echa;
Zrywały się z nocy wieków
Przebudzone Miltiady,
I z uśpionej lutni Greków
Dźwięk się ozwał Iliady;
Lądy, morza, pola chwały
Pełne imienia mych braci,
Jednym tylko hymnem brzmiały:
„Chwała wam, chwała Sarmaci!"
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

KLASSYCY

i

ROMANTYCY POLSCY

w dwóch listach.

Drukowane pierwszy raz w Warszawie,

1829 roku.

Julianowi Niemcewiczowi

bezstronnemu sędziemu

płodów ojczystej literatury

w hołdzie uszanowania

pismo to poświęca

Autor.

List pierwszy do Klassyków.

Si veteres ita miratur laudatque poetas
Ut nihil anteferat, nihil illis comparet, errat.
Hor. Epi. I. Lib. II.

Zkądżeście to klassycy tak gniewni, zajadli,
Na ten biedny romantyzm od kilku lat wpadli?
Rozsądku zawsze w waszych wołacie kazaniach,
Widzę go w waszych dziełach, lecz nie widzę
w zdaniach;
Poważnej Klassyczności gniewać się nie ładnie,
Mówionoby, że zazdrość waszem piórem władnie
Że Szyllery, Birony nową dążąc drogą,
Zastraszyć waszą sławę i prześcignąć mogą;

Niechaj mnie cień Boala od tej myśli broni,
Na tym trakcie tak gładkim nikt was nie przegoni,
Tym bardziej ta niezgrabna romantyków tłuszcza
Co się, jak wy mówicie, manowcami puszcza,
I przenosi nad wasze dzieła nieśmiertelne
Swoje babskie powieści i pieśni kądzielne.
Lecz na cóż się tak dąsać, jeźli brednie klecą?
Im śmielej dążą w przepaść, tym w nią prędzej wlecą;
Nic wreście na tym świecie tak długo nie włada,
Chwała, wielkość, potęga, wszystko tu upada;
Któżby więc mógł z rozsądkiem utrzymywać śmiało,
By same tylko głupstwo wiecznie bujać miało,
Choć i to rozsądkowi zdaje się przeciwić,
By się tyle narodów miało głupstwu dziwić. —
— Wchodzę ja wprawdzie w gniewu waszego przyczynę,
Że śmiano tak zaburzyć Apolla krainę,
Ten Parnas starożytny, gdzie aż wspomnieć miło,
Wszystko już tak spokojnem i tak cichem było,
Że nikt mu już słodkiego snu myśli nie kłócił,
A Feb co się zaledwie raz na wiek przecucił,
Skarciwszy Ossyana i Szekspira zbrodnie,

Chrapiącą Klassycznością zarządzał swobodnie.
Minął już ten wiek złoty, i nie prędko wróci;
Cały świat się zakłócił, więc i Parnas kłóci,
Rośnie burza powszechna i pędząc od Szkotów,
Z całą wrzawą bretońskich piorunów i grzmotów,
Nie tylko prawowierne Franki wam zabiera,
Lecz nawet do poczciwych już się Lechów wdziera;
I tak szybko po całej Polsce się pomyka,
Że raz po raz jakiegoś urwie wam Klassyka.
Straszliwa to jest klęska, lecz jak jej zaradzić?
Niepodobna jest cały świat do czubków wsadzić;
Nielepiejże by było walki nie otwierać,
A zwłasza przesądami przesądów nie ścierać?
Bo któż tych Anglomanów wściekły gniew uśmierzy.
Nie jeden co was zdawna groźnem okiem mierzy,
Mógłby do was tym płochym ozwać się językiem:
,,Zrzekam się waszej chwały, nie chcę być Klassykiem,
,,Jeśli mam to przytłumiać, com otrzymał w darze,
,,Jak głupie echo dawne podrzeźniać pisarze,
,,I z każdem się uczuciem dawnych radząc wieków,
,,Smiać się śmiechem Rzymianów, płakać łzami Greków;
,,Lub jeśli to tak wielką zaletę stanowi,

„Ukraść wiersz Horacemu, lub myśl Tacytowi,
„I zyskać tę pochwałę dla swojej obrony:
„Oto człowiek na dobrych wzorach zaprawiony;
„Lub jeśli wreście waszym podobny klassykom,
„Mam składać podłe hołdy Augustom, Ludwikom,
„Więzy nieszczęsnych ludów uzłacać niegodnie
„I zbrodnią poezyi wspierać tronu zbrodnie;
„Bóg sam tego zabrania, bym się tak ukorzył,
„On mnie wieszczem mych czasów a nie małpą stworzył.“
I jakaż z takiéj kłótni korzyść wam wypłynie?
Wśród wzajemnej przesady głos rozsądku zginie.
Mają oni swe błędy, lecz i wy je macie,
Takie głupstwo jest w starej jak i nowej szacie,
Wreście jeśli coś znaczy wyrok sławnych ludzi,
Każdy rodzaj jest dobry, prócz tego co nudzi.

Czemuż, czemuż nie mają jakieś śmielsze wieszcze
Nowy nam poezyi Eden odkryć jeszcze,
A mędrsze tylowiecznych doświadczeń przestrogą,
Nie znalazłszy go dawną, nową szukać drogą?
Bracia! trzeba śmiałości! szczęście śmiałym sprzyja.
Najpiękniejszym jest orzeł, gdy się w niebo wzbija!
Jest jeszcze nowa sfera, nieznana, daleka,

Czeka swego zdobywcy i niepróżno czeka. —
Ach któżby mógł mieć duszę tak srogą, zaciętą,
Aby chciał nam wydzierać tę ufność tak świętą,
By śmiał gasić tę zorzę, co nam zdala dnieje,
I tak piękne serc naszych zabijał nadzieje.
Ten Bóg wielki, wszechmocny, co myśl ludzką stworzył,
Nie takto ciasny przed nią świat marzeń roztworzył,
By Homery, Marony, mimo wiecznej chwały,
Już wszystko w nim i odkryć i wyczerpnąć miały.
I cóż ztąd, że olbrzymiej sławie Rzymian, Greków
Nie zrównało aż dotąd tyle mężów, wieków,
Czyż rycerz niezwalczony już nigdy nie legnie,
Czyż ten czas dla przechadzki tylko naprzód biegnie?
Jeżli próżno jest zwykły bój toczyć z Dawnemi,
A więc z nowych stanowisk trzeba walczyć z niemi.
Tam dążyć, gdzie tak silna ufność ciągnie, wzywa,
Ufność stwarza Kolomby i światy odkrywa.
Któżby się wreście z swoim przeciwnikiem mierzył,
Gdyby wprzód w podobieństwo zwycięztwa nie wierzył?
Ale w jakążto walkę wdałem się niebacznie —

Dopieroż to złość wasza obracać mnie zacznie.
Od was to należało, wielkie Flakka wnuki,
Nauczyć mi się wprzódy strofowania sztuki,
Bo któżby wam w krytyce mógł zrównać na świecie
Wyto tylko, wy sami tak trafnie umiecie
We wszystkiem, co jest piękne, klassyczność ocenić,
A każdą śmieszną brednię romantyzmem mienić;
Złapać tam jakieś słówko dziwaczne, przesadne,
I już wiedzieć, że wszystko głupie i szkaradne;
Tak się wreście przeczuciem i instynktem rządzić,
Że nawet bez czytania potraficie sądzić.

Lecz zkądże taka wrzawa, zkąd ten szczęk orężów,
Jakież się zewsząd *tłumy zbrojnych sypią mężów*;
Wszystkie razem Klassyki straszną wojnę głoszą,
Z pod Troi zapleśniałe sztandary wynoszą,
Arystotem nabite wytaczają działa,
I już sława Homerów do boju zagrzmiała!

Nie będę was w tym wściekłym wstrzymywał zapędzie,

Chcecie wojny okrutni! niechże wojna będzie.
Rzućcie się w te zawody, tak krwawe jak płoche,
Ruszajcie więc, ruszajcie! tylko żwawiej troche,
Nie bójcie się Birona okropnej pogoni,
Już Hektor romantyzmu nie podniesie broni:
Zbyt ciężko zasłużony cios go nie ominął,
Błyszczał w ziemi Fingala, a w klassycznej zginał.
Dalej więc, dalej wielkie tarcze Helikonu,
Wznówcie boje Farsali, szturmy Ilionu;
Niech żaden mir nie przerwie waszej zawziętości,
Wy powstali mściciele z Horacego kości
Nie dajcie się przełamać romantycznej młodzi,
Wielbicielom Achilla tchórzyć się nie godzi.
Mężnie więc — mężnie bracia! tnijcie, rąbcie,
sieczcie,
Wbijajcie ich na pale, nawet żywcem pieczcie,
A gdyby wam iść miało trochę twardo z niemi,
Powiedzcie, że nie warto jest walczyć z głupiemi.
Tej jednej im przynajmniej nie odmówcie chwały,
Że ich gockie ballady, wasz letarg przerwały,
I że może z niejednej wypoczętej głowy
Wymuszą kiedyś wreście jaki obraz nowy;
Już się bowiem zdawało, że świat wieszczów znikał,
I co Homer otworzył — to Wolter zamykał. —

List drugi do Romantyków.

I had rather be a kitten and cry mew!
Than one, of these same metre-ballad-mongers.
Shakspeare.

Zwycięztwo więc, zwycięztwo! krzyczą romantycy,
Odniesiony już tryumf, pierzchnęli Klassycy,
Nie pomogli im Homer, Flakkus, ni Wirgili;
Wszystkośmy to pogniotli i na miazgę zbili,
A jeżeli przez nasze oszczędzony wieszcze,
Jakiś tam niedobitek wałęsa się jeszcze,
Niechaj mu romantyczna wspaniałość przebaczy
Niech słucha naszych ballad i kona z rozpaczy.

Dalej więc, dalej bracia, roztwierajcie szranki,
Teraz czas się ubiegać, na zgliszcza, kurhanki,
Teraz czas roić, bujać, i w *świetnym zawrocie*
Rozbijać się po wielkim marzeń kołowrocie.
Zanurzać się w bezdenność, wznieść nad gromów wrzawę,
I na grobie Klassyków naszą wyryć sławę!

Wstrzymajcie się na chwilę z tym hucznym zapałem,
Musiż i radość u was koniecznie być szałem?
Mniej oni od was krzywdzą i gniewają Feba;
Jeźli na nich satyry, na was gromu trzeba;
Napróżno mnie waszemi straszycie potwory,
Czary, duchy, szatany, strzygi i upiory;
Napróżno nawet smakiem i rymy waszemi,
Jużem się ich nasłuchał, i oswoił z niemi;
Śmiałą prawdę tym powiem, których hasłem śmiałość,
Zbyt często chodzą w parze śmieszność i zuchwałość;
Zuchwałością jest wszystkie pogwałcać ustawy,
A śmiesznością tym torem dobijać się sławy.

W liczne szkoły się ucznie dzielą Rafaela,
Lecz któraż tak dalece bredzić się ośmiela,
Aby w brew przyrodzenia odwiecznej zasadzie,
Nie tam kładła ust, nosów, gdzie je druga kładzie.
Dajmy na to, że wasze górnolotne skrzydła
Zbyt ciężkie dawnych wzorów tłoczyły prawidła,
Że trzeba było Muzę w nowszą sferę zwrócić,
I raz przecie to jarzmo tak haniebne zrzucić;
Lecz czyż jeniec, co swoje rozerwie okowy,
Ma koniecznie dla tego stracić rozum zdrowy,
W wszystkich błędów i szaleństw puszczać się bezdroże,
I tam chodzić na głowie, gdzie na nogach może?
Krzyczycie na Klassyków, że już nic nie śmieją,
Że od wieków wyrytą wlokąc się koleją,
Tak wreście w rozjeżdżonej zarznęli już drodze,
Że nie tylko sam Pelid, lecz i wszystkie wodze,
Wszystkie Bogi — Pół-Bogi, mimo szczerej woli,
Już ich z tej tak okropnej nie wydźwigną doli:
Krzyczycie, że wciąż same Sparty, Rzymy roją,
I mogąc się w swe własne, w cudze laury stroją,
Gdzieś tam zawsze wspomnieniem sięgają dalekiem,
Zawsze żyją z przeszłością, nigdy z swoim wiekiem,
I tak patrzą za siebie, a szczególnym losem,

Tego widzieć nie mogą co mają przed nosem.
Przyznaję, że skarg waszych słuszne są powody,
Bo na cóż zwiększać podłe naśladowców trzody,
Na cóż zawsze te same przerabiać obrazy,
I wciąż mi to powtarzać, com słyszał sto razy,
Kwiaty przez nazbyt liczne przechodzące dłonie
Tracą wreście pierwotne blask, świeżość i wonie
I słabe to już bywa tych rysów odbicie,
Które z naśladowania, naśladują życie;
Lecz jeśli i wy równie jesteście winnemi,
A mam wybrać koniecznie — wolę trzymać z niemi;
Oni przynajmniej, w smutnej małpienia potrzebie,
Homerów naśladują, a wy samych siebie.
Za nic wam są Szekspirów, Szyllerów przykłady,
Spętaną stopą własne powtarzacie ślady,
I tak cóście nowością samą darzyć mieli,
Ledwieście się zrodzili, a już zestarzeli.

— Przebóg! pókiż nam będą wasze głosić dźwięki,
I czułość tylu zbójców i wisielców wdzięki,
Kiedyż już wszystkie wasze zliczycie bożyszcza,
Mogiły, mogilniki, kurhanki i zgliszcza?

Zawszeż będą te widma głupich za nos wodzić
I pielgrzym podkasany przez potoki brodzić?
Wiecznież więc — wiecznie chcecie owczym dążyć pędem,
I też same obrazy długim ścigać rzędem?
Ledwie, że z was jednego nocna zdusi zmora,
Albo gdzieś tam brudnego wywlecze upiora;
Jużci się za nim drugi w nocnej zrywa porze,
Rozwala stare trumny, po cmentarzach orze,
Od wieków śpiące trupy strasznym rymem budzi,
I jakby nie dość żywych, jeszcze zmarłych nudzi;
Kochać się nawet każe marom nieszczęśliwym,
I w domiar losu wzdychać swoim wierszem ckliwym!
Cóż dopiero, gdy straszne zabrzękną kajdany,
I po rozstajnych drogach zawyją szatany;
Lub też wicher wśród stare zerwawszy się gruzy,
Gwizdnie tam w ucho jakiejś rozmarzonej Muzy;
Jużci z świetnym orszakiem i sów i puhaczy,
Całe pułki piekielnych sypią się tułaczy;
Już tysiąc wichrów razem w stare zamki bije,
Po pustych już piwnicach świszcze, jęczy, wyje;
Lub gdzieś tam przez dziurawe gwiżdże wam poddasze,

Jakby gwizdał Horacy słysząc rymy wasze.
Nie chcę ja was wstrzymywać w tylu uczuć tłumie,
Często się romantyczność w wielkim mieści szumie;
Lecz z takichżeto kwiatów sarmacki młodzieniec,
Narodowych nam wspomnień będzie splatał wieniec.
Takżeto będzie lutnię Kochanowskich kalał,
I mijał Batorego, aby z strzygą szalał?

Jest piękność Muzie waszej szczególnie właściwa,
Która pewne obrazy lekką mgłą pokrywa,
Powoli je nasuwa mojej wyobraźni,
Nie budzi jéj gwałtownie, lecz przyjemnie drażni;
I tyle tylko wdzięcznych rysów mi odkryśli,
Bym sam rozkosz tworzenia w mojej uczuł myśli.
Lecz cóżeście z tak lubym zrobili urokiem?
Zamiast dnia gasnącego otaczać nas mrokiem,
Tem światłem przycienionem, co tak mile skłania
Do wdzięku tajemnicy, rozkoszy dumania
Wy nas nieraz wiedziecie w tak ciemne otchłanie,
Że pomimo największe szukanie, macanie,
Zbyt trudno nie pomieszać skutkiem nocnych cieni,

Poety z opętańcem, a z szaleństwem pieni.
Żaden wiek się na świecie z ciemności nie chlubił,
Syn ciemności wśród raju jeszcze piękność zgubił,
Ciemność zawsze prawd wszystkich najsroższym
jest wrogiem,
A Feb nie tylko rymów — lecz i światła Bogiem.

Ale cóż to za liczne żale, łzy, rozpacze,
Iluż tu młodych wieszczów szlocha. jęczy, płacze,
Ileż skarg, ile przekleństw, jak potwarcze głosy,
Na ziemię, ludzi, życie, naturę i losy!
Nie ma dla nich pociechy, wszystko płonne, marne.
I jak w starych grobowcach zgasłe, ciemne, czarne,
Zda się, że po wymarłej błąkają się ziemi
I cień Jeremiasza ulata nad niemi!

Stójcie! stójcie niebaczni! jakiż to szał nowy,
Tak rojne, cudotwórcze zawrócił wam głowy?
Dziwią was, oburzają te gruzy, urwiska,
Te młodą zgrzybiałością śmieszące zwaliska,
Co opłakując srogość udanej zagłady,
Niezgrabnie burz i wieków przedrzeźniają ślady,

Lecz czyliż i wy sami mniéj gniewu budzicie,
Tak młode i kwitnące oczerniając życie,
Ledwie że się z Infimy, a nawet z pieluszek
Jakiś tam romantyczny wyrwie Jeniuszek,
Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi,
Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach
błądzi,
Z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha,
Je dobrze, pije lepiéj, a do grobu wzdycha. —
Wiem ja, że nie żyjemy w tak wesołym czasie,
By sama tylko radość brzmiała na Parnasie,
Lecz na cóż wam nieznane niedole okryślać,
Niedosyćże istotnych, trzebaż nowe zmyślać?
Trzebaż, trzebaż tak srodze przez ten jęk żałosny,
Z pięknego maju życia zdzierać barwę wiosny,
Okradać z wszystkich pociech młodość przerażoną
I nieba, ziemię krwawą powlekać zasłoną,
Jakby już Bóg dobroci przestał światem władać,
I nie było mu za co dalszych dzięków składać!

— Ach! wskażę ja wam, wskażę do łez powód
smutny,
Stokroć on istotniejszy, chociaż mniej okrutny;
Spojrzyjcie tylko sami na te klęski nowe,

Walące się na piękną ojców waszych mowę.
Gdzież ów język naddziadów, ten ich obraz własny,
Tak czysty, jak ich dzieje, a jak chwała jasny,
Co w wdzięcznym śpiewie dziewic — w silnym słowie męża,
Rozrzewniał jak łza matki, brzmiał jak szczęk oręża;
A jak ów wódz nad bratnie wyniesiony szyki
Tak wszystkie ziem sławiańskich przewyższał języki. —
Gdzież on jest, gdzie, powiedzcie, niebaczni pisarze,
Któż go pozna w tym gminnym i rozlazłym gwarze,
Wśród te twarde przybysze, wsród te chwasty szpetne,
Głuszące podłym plonem Skargów laury świetne?
Przebóg! cóż to za słowa? jakież dzikie brzmienia,
Kłócą się z złotym dźwiękiem sarmackiego pienia?
Tu głos surmy wśród lutni przebija się tonu,
I po lirycznych strofach pędzi brodacz Donu,
Tam się w wdzięczną balladę cała Smorgoń wpycha,
Tu jakiś gruby Kaszub po sielankach wzdycha;
Puszy się dziki Pińczuk w rzewnym triolecie,

Hajdamak w epopei, a Turek w sonecie!
Jeźli miłość ojczyzny wasze budzi lutnie,
Za cóż się nad jej mową pastwić tak okrutnie?
Szanowały ją wszystkie Sarmacyi wieszcze,
A jak raz nas przeżyła, może przeżyć jeszcze.
Polsko! jakże się w ów czas w swym żalu po tobie,
Wnuki nasze na twoim zrozumieją grobie!...
Lecz cóż to? patrzcie bracia! z łona wiecznej chwały
Powstaje Czarnolasu śpiewak osiwiały.
Patrzcie, jak z głębi wieków ręce ku wam wznosi
I nad mową Zygmuntów o litość was prosi.
Nie miał on wprawdzie waszej zdolności, zasługi,
Nie mruczały mu sosny piosenek żeglugi,
Ni puchacz po nad śnieżne majaczył mu Tatry,
Ni mgła mu zadrzymała, ni szczekały wiatry,
Nie znał on, nie znał nawet tych lubych katuszy,
By mu okropny powóz w tkliwej jeździł duszy,
Nie gardźcie przecież głosem, co tyle dzieł spładzał,
I który się przynajmniej zawsze z sensem zgadzał.
Nie chce on was w tym młodym ostudzać zapale,

Dążcie, dążcie ku nowej i nieznanej chwale,
Lecz jeśli świętej jego chcecie słuchać rady,
Łączcie dwóch szkół zalety, wygładzajcie wady,
I by samej śmiałości piękną nadać miarę,
Wysnute z nowych myśli piszcie wiersze stare.
Piszcie — ale nad wszystko stłumcie już te skargi,
Te nasz parnas ojczysty dwojące zatargi,
Czas niegodne szlachetnych bardów złożyć bronie
I starszym w chwale braciom polskie podać dłonie.
Na cóż wam te prawideł, rodzajów, wywody —
Bliższemi, niż sądzicie, już jesteście zgody,
Jedna matka was swemi uwieńcza laurami,
Żadnej lutni bezbożność, ni podłość nie plami,
Jedno macie prawidło — bratnie kształcić plemie,
I jeden tylko rodzaj — polską śpiewać ziemię.

L o r c i a.

Obraz z natury.

Są wdzięki, których gminne nie dojrzą spojrzenia,
Którym mowa człowiecza nie dała imienia,
Przeszłyby niewidziane i zgasły niestety,
Gdyby na nie w ich kwiecie nie padł wzrok poety.
Spojrzyj na tę samotną i bladą dziewicę,
Nigdy różą młodości nie kwitły jéj lice,
Twarz obca pięknym kształtom — przecież smętna, tkliwa,
Na której jakaś zimna cierpliwość spoczywa,
Jakaś senność znużenia — a jak gość niezwykły,
Uśmiech jéj tak leniwy i tak szybko-nikły —

Oko zgasłe, umarłe — postać — istność cała
Tak wątła jakby z wiatrem rozwionąć się miała.
Świat ją zimno omija w swym płochym obłędzie,
Nikt jéj nigdy nie kochał, ni kochać nie będzie;
A przecież wzrok, co głębiej wczytać się w nią
zdoła,
Niejeden wdzięk ukryty na jéj twarz wywoła.
Jest to jakiś zwarzony młody kwiat niewieści,
W jej głosie jakaś tajna muzyka boleści,
W każdym ruchu — wstręt świata, myśl — w
każdem spojrzeniu,
W jéj układzie — marzenie, a wyraz — w milcze-
niu.
Są chwile, w których takie słowo z ust jéj padnie,
Słowo duszy, które tam spoczywało na dnie —
Iż zda się, że w tym dźwięku jednego wyrazu
Całe dzieje swych marzeń wylała od razu.
Radość — zimny wzrok bliźnich — nagany — po-
chwały,
Tem są dla jéj czułości, czem jest grad dla skały;
A na jeden dźwięk czasem — jeden kwiat złamany,
Szum lasu — przelot gwiazdy — liść wichrem mio-
tany,
Skroń się jéj tak rzewliwą smętnością omracza,

I łza wielka, gorąca po jéj licach stacza. —
Żaden przecież grom losu, żadna krwawa strata,
Ni zawód nawet serca nie zczernił jéj świata;
Ale — ni ona świata — ni świat jéj rozumie,
Dusza jéj nigdy z ludźmi skrewnić się nie umie;
Jest to, błędem natury gwiazda przerzucona
Z jednej sfery na drugą — niedobrana strona,
Co wciąż sprzecznym tej ziemi odzywa się jękiem
I nigdy już z stron bratnich nie zleje się dźwię-
kiem. —
Bóg zna tylko jéj skrytych uczuć, myśli boje,
I gdzie dusza podobna ma ojczyznę swoję;
Zakrył on jej ponęty dla świata źrzenicy,
Dla wieszcza tylko przybrał — w piękność taje-
mnicy.

Nowy rok.

w postaci dziecięcia, odganiającego rok stary.

Już was rok stary pożegnał,
Już wam szczęścia nie zakłóci;
Takem go dobrze odegnał,
Że już pewno nie powróci.
Źle się na tym świecie sprawił,
Radbym zatrzeć jego grzechy,
On was tylu strat nabawił,
Ja może niosę pociechy.

Na cóż ciągłe łzy wylewać,
Któż wie, co mu przyszłość kryje;
Kto się nie umie spodziewać,
Nigdy życia nie użyje.
Lecz się spieszcie, bo czas krótki,
Chwytajcie młodą nadzieję,
Jeszczem wprawdzie zbyt malutki,
Lecz się za rok zestarzeję.
W krótce, w krótce w innym świecie
Starszych mych braci dopędzę.
Szczęśliwy jeśli powiecie
Żem umniejszył biednych nędzę,
A gdy i mnie czas odegna,
Podróżny wezmę tłomoczek,
Tak mnie z was każdy pożegna:
„To przecie dobry był roczek!"

Odpowiedź Godebskiemu,

imieniem Jaxy M.

Panie Godebski,
Wiersz twoj jest kiepski;
Lepiéj młodziku,
Nuć kukuryku;
Ja piszę wiersze
Nie jak ty piersze;
Mnie Muza pieści
Już lat czterdzieści;
Jeszcześ był w jajku
Mały hultajku,

Gdym w Parnas wkroczył
I już przeskoczył
W sztuce Apolla,
Kiszkę i Molla;
Kijów mnie głosił,
Na ręku nosił,
Karmił i poił;
A gdym się stroił
W wieniec wołyński,
Płakał Feliński. —

Cóżeś ty zrobił,
Byś się ozdobił
Laurem poety;
Gdzież twe *Gorsety*
Ty piszesz drwinki,
Ja *Upominki*,
Ty mód żurnale,
Ja *Rzeki* walę!
Sypią się tomy,
A świat łakomy
Na moje *Treny*,
Znawce, *Jreny*.
Pszonki, *Pobyty*,

Stoi jak wryty
Nad każdą kartą,
Z gębą otwartą!

Prawda, że wielu
Ma mnie na celu,
I drwi potężnie;
Lecz czemuż mężnie
Nie znieść pocisku,
Zwłaszcza dla zysku?
Przy darze Feba,
Rozum mieć trzeba;
Moja intrata
Prenumerata;
Wreście mój panie,
U nich śniadanie,
Obiad, wieczerze;
A ja ci szczerze
Powiem po prostu,
Nie lubię postu,
W strasznem zawzięciu
Żrę za dziesięciu.

Ciszej więc bratku,
Gdyż na ostatku
Jak się rozjuszę
I z zemstą ruszę,
Tak ci dogryzę
Przez improwizę,
I taki na cię
W drwin tych odpłacie
Lunę trzy-dniowy,
Potop rymowy,
Że z strachu cały,
Jak trup skościały,
Świata się zrzekniesz,
W piekło uciekniesz,
A ja tam nawet,
Płacąc wet-za-wet,
Na kark ci wsiędę,
Wiersze ciąć będę;
I tak z ich hurmem
Uderzę szturmem,
Że wszystko zburzę,
Djabłów wykurzę;
Sam szatan ryknie,
O litość krzyknie!

Tak wreście dzielny,
Długi — piekielny
Wiersz ci zawyję;
Że mózg ci zryje,
Szpik ci wysuszy,
Piekła zagłuszy,
I jak lew w dziczy
Wieczność przeryczy!

Do Z. R.

w imionniku.

Jak ów na gruzach wzrosły kwiat młodzieńczy
Tem jest piękniejszy, że ruinę wieńczy,
Tak i ty córo nieszczęsnej krainy,
Uroczny kwiecie ojczystej ruiny,
Tem nam wdziękami jaśniejesz milszemi,
Że w smutek polskiej przybierasz się ziemi.
O Polki! Polki! słynna piękność wasza,
Nie jest w tych wdziękach, które świat rozgłasza;
Waszym urokiem jest wryta zrzenica,

Smutkiem niedoli umilone lica;
Owe bolesne i długie dumania,
Gdzieś tam krążące po krajach wygnania;
Ów wzrok, co blaskiem łzy cnotliwej płonie,
Błądzi po grobach, lub też w gwiazdach tonie.
Ach! póki łza ta wasze rosi twarze,
I boleść święte oblega ołtarze,
Póki czas, płochość, wdzięków tych nie zgaszą,
Dopóty palma piękności jest waszą:
I póty cześci — póki niesplamiona
Wieńczy skroń waszą godności korona! —

Myśl nocna z Mura.

Patrz! jak te chmurki zazdrością pędzone
Czarną na księżyc rzucają zasłonę,
Chociaż tak skromnie i tak cicho płynie
Przez wielką nocy pustynię!

Takto i czarne skrytych cnót oszczerce
Chmurzą niejedno bojaźliwe serce,
Któreby chciało tak cicho i skrycie,
Przez ziemskie przemknąć się życie!

Heu, quanto minus est cum reliquis versari, quam tui meminisse.

Gdzieżeś, ach gdzieżeś dawne szczęście moje?
Gdzież jest ta postać z anielskim urokiem,
Co niegdyś przez te *głośne świata roje*
Cichym skromności przepływała krokiem.

Jak gdyby Bóg sam powierzył jej łonu
Bliski, tajemny wyrok jej zatraty,
Zimne przeczucie wiosennego zgonu,
Zwarzyło dla niej wszystkie życia kwiaty.

Próżno ją, próżno, świat swym wdziękiem wzruszał
I wszystkie serca miłość swoję niosły:
Miała kwiat szczęścia — lecz go cierń zagłuszał,
Miała i dzieci — lecz nie dla niej rosły!

Tam u stop krzyża w wieczornej godzinie
Codzień przez długie zwykła klęczeć lata;
Jak mgła na wonnej wisząca roślinie,
Tak wiewna z ramion jej spływała szata.

Czoło jej ciężkie chyliły marzenia,
Ciemne się włosy w długich pasmach lały,
Płakało serce, a korne cierpienia
Z drżącą się skargą przed swym Bogiem słały.

O jak tam z duszą wznosząc się żałośną
Głos jej się wzmagał — i znów słabiał — ginął
Z imieniem mojem — prośbą zabrzmiał głośną
Z imieniem dzieci — we łzach się rozpłynął.

I gdzież jest teraz? — sciął się zdrój czystości
Nigdy ziemskiemi nie zaćmiony pyły,
I tyle wdzięków — nadziei — młodości
Dla zimnej tylko zakwitło mogiły.

Uszła już, uszła z łzy i troski swemi
W ciszę zaświecia — w wiecznych pociech raje:
Tak szybko po tej przewionęła ziemi,
Jakby w ojczyste powracała kraje.

Gwiazda to górne strojąca błękity
Chwilę się w mętnej przejrzała głębinie —
Cień to od lotu anioła odbity
Cicho się po łez przesunął dolinie!

Do milczącego Jaxy.

Sowo Minerwy, perło Apolla,
Szczytna topoli w poetów klombie,
Ty coś tak piękne grywał nam sola,
Na Feba trombie.

Sławny pijaku krynic parnaskich,
Coś Bielawskiego, coś Jacka przepił,
Ktoż ci na wieczny smutek Moraskich
Gębę zalepił.

Był czas gdy jeden Bóg nas prowadził,
I przyjacielskie godził nam lutnie,
A każdy z nas się na koncept sadził,
Kto lepiej utnie.

Wtenczas to jakby Etna wzburzona,
Wiersześ nam miotał wierszem grzmiał ryczał
Dziarski twój pegaz zadarł ogona,
Wierzgał i kwiczał.

Każden ci wprawdzie łatki przypinał,
Lecz i tyś dowiódł że umiesz kąsać:
Poznał świat wówczas, co za kryminał
Jaxą potrząsać.

I skądże po tej bójce tak grackiej
Milczysz na wieczne dni mych zatrucie
Zapiej! ach zapiej — grzędy sarmackiej
Sławny kogucie!

Ostatni Kontusz.

Jak gdy skazany prawami świata
Zbrodniarz za swych przestępstw brzemie,
Co nim kark podda pod topór kata,
Ubiór swój ciska na ziemię —

Takto niestety i ród mój bratni,
Nad przepaścią swej zatraty,
Z swojej się polskiej rozebrał szaty,
I mój kontusz — już ostatni!

Gdzież są z młodością związani moją
  Równi mi sercem, odzieżą,
Wszyscy, ach wszyscy po grobach leżą
  I szczęśliwsze sny tam roją.

A ja tak jestem jak w mroźnej porze
  Ptaszek od stada urwany,
Smutnie po pustym kwilący borze
  I przez wszystkich zapomniany.

Jestem jak gdyby jakiś dziw nowy
  W starem mych ojców siedlisku:
I stoję jakby posąg grobowy
  Na wielkiem Polski zwalisku!

I skądże takiej płochości kroku
  Orężny naród się chwycił,
Ubiór ten przecież miał kord przy boku,
  Rycerskim wąsem się szczycił.

Ubiór ten siadał na tronie chwały,
Z morza do morza się sławił;
Znał go za Dnieprem nasz orzeł biały
I kontusz Wiedeń wybawił.

Słusznie Bóg, słusznie gromem potęgi
Na taką skazał nas dolą,
Chłopek nie zrzucą ojców siermięgi,
Chociaż tak ciężka niewolą.

Jest on jak dąb ten, co już z wszystkiemi
Walczył szturmy przyrodzenia,
Przecież tak silnie stoi w tej ziemi
I kory swojej nie zmienia.

O gdy ten kontusz ma iść w zatratę;
Do sukni gminu się zwrócę,
Przynajmniej polską przywdzieję szatę,
A starej cnoty nie zrzucę.

P i o s n k a.

Gdybym był wiedział w dawniejszej porze,
Czegom o tobie dziś się dowiedział;
Byłbym nie *kochał* — *uciekł* za morze,
Gdybym był wiedział.

Nie byłbym mojej młodości strwonił,
Ufnością zdradzie twej odpowiedział,
Ni teraz za cię wstydem się płonił,
Gdybym był wiedział.

Stało się, stało — już po obłędzie....
Trzeba na wieczny zdobyć się przedział,
Ostatniem słowem w zgonie mym będzie:
Gdybym był wiedział!

Powrot.

przypisany bratu Jozefowi, jako współświadkowi wielkich pamiątek.

Wraca więc — wraca w swej pozgonnej chwale,
Niosą go szumne oceanu fale,
Głośne, szerokie żalu lejąc hymny:
A nad Nim słońce Austerlicu pała,
I dzień Mu świeci tak piękny jak chwała,
A jak grób tak zimny. [1])

Wszystkie się brzegi spiżą Marsa zbroją
I wszystkie góry lasem ludów stroją,
I wszyskie grzmoty i krzyki olbrzymie
W jedno potężne zlewają się Imie.

I na to Imie — całą massę swiata
Jakiś wielkiego czucia dreszcz przelata:
Troi się życie — zwiększa sił potęga,
Myśl olbrzymieje — dusza w wielkość sięga:
Porwany swego rówiennika cudy
Wznosi się człowiek i wzrastają ludy:
Sława królewskim świeci majestatem,
I burza męztwa znowu trzęsie swiatem.
Rzuca się z łoża starzec w chwili zgonu,
Dziecię z pochew miecz dobywa
I ze szczytu Panteonu
Orzeł Piramid się zrywa.
Zda się, że w pierwszej Jego chwały wiośnie
Stare Taboru znowu drżą granity
I znów Alpejskie zniżają się szczyty
A Wandomski posąg rośnie!

Sława Mu! sława! woła ród człowieka,
Sława Mu! sława! grzmi przyszłość daleka,
Swiat się wielkim wznosi mężem!
Lecz jest lud jeden darty zgryzot wężem,
Piekielna trawi go rana,

Próżno się, próżno płaszczem wstydu kryje·
Już on jak żona mordercy Dunkana —
Plamy swej morzem nie zmyje.
I jest lud drugi — dalszej odległości,
Co całą ziemię swemi bieląc kości
Ciągnął za mieczem zemsty Archanioła;
Sto gwiazd do Jego dodał on imienia,
Ale dziś z krzyża cierpienia
Łzy Mu tylko posłać zdoła.
I są koronni władzce milionów,
Co hołd ten świata z swoich słyszą tronów...
I myśli w długich zadumaniach grążą
I dziwne czucia po Ich łonach krążą,
A gdy Ich korzy ta nicość grobowa,
I znowu patrzą na ogrom zwaliska;
Zdają się szukać wielkiego Słowa,
Zagadki Jego zjawiska!

Spiesz ludu Franków — zlej się w naród cały:
Patrz! —jeden z wodzów — ojców twojej chwały,
Trumnę ci Jego roztworzył!
Spojrzyj — cesarskim płaszczem obwiniony,

Jak gdyby życia orkanem znużony,
Na wieczny sen się położył.
Wzniosły się skronie — dłoń na mieczu wsparła;
W wyższą dostojność przybrał wyraz twarzy;
Jakaś Mu do brew wielka myśl przymarła:
Rzekłbyś, że swoję nieśmiertelność marzy.
Patrz! — jak w tych rysach — w tem monarszem czole,
Wszystkie dni Jego wybiły się dole,
W jednem obliczu, jakby w dziejów xiędze,
Widzisz ludzkości i wielkość i nędzę!
Ileżto wpośród tej grobowej nawy,
Co już na morze wieczności ulata,
Zlało się potęg — koron — nieszczęść — sławy:
Mieści się wśród niej Pan i więzień świata!
Wzniosł się, zajaśniał jakby słup wolkanu —
Jakby piorun, syn orkanu,
Zrodził się, powstał z nawały:
Burza ogniem Jego wzrosła,
Burza pod gwiazdy go wzniosła,
Burza rzuciła na skały!

Stało się! — wszystko pochłonęły czasy,
I oto za Nim Jego przeszłość cała

Stoi tak wielka — martwa — skamieniała,
Jakby potężne Himalai massy!
Leżą w tym wielkim ogromie natury,
Zuchwałych czynów i pomysłów góry:
Wposród rozbitych opok gromem wzgardy
Sterczy kamiennej woli olbrzym twardy:
Grożące śmiercią i morzem zalewu
Ryczą w przepaściach katarakty gniewu,
Warzą się burze i aż z chmur wyżyny
Grzmią w głębie dolin wyroków ławiny!
Leżą warsztwami wielkich sław rozłomy
W groźnych pokładach, całych wojsk ogromy,
Ludy szkieletów! — wszystkie szczyty celne
Stroją Alp, Piren orły nieśmiertelne:
A o świat cały wytrysły nad niemi,
Jakby maszt jaki żeglującej ziemi,
Stoi głaz, Cezar — *złotem słońc oblany*
W koronę wieków przybrany,
Na który krwawy sęp Heleny wzlata
I w sprosnym dziobie kruszy berło świata!

N a . . . . . .

Starzec, który o dawnych miłostkach mi prawi,
Uśmiecha się wspomnieniom, lub je łzami zlewa;
Jest to dziecię, co z garstką popiołu się bawi,
Którą wiatr śmierci rozwiewa.

Na obraz matki z dziecięciem.

O jakże ciężka boleść serce jej przenika,
Jak długi, jak bolesny wzrok w to dziecię wryła;
Czuje, że do swych piersi tuli niewolnika,
Polka — co królów rodziła!

Na zbiór wierszy różnych Poetów.

Jakież tu wieszczów mnóstwo niesłychane,
Laury i chwasty obok siebie wzrosły;
Wszystko, jak w Arce Noego zmieszane,
Ludzie i osły!

M o d a.

Nieszczęście nawet, modzie podlega u ludzi,
Młode — rzewni, roztkliwia, zestarzałe — nudzi.

Strofa z Szyllera.

Jakże szczęśliwy w marzeń mych obłędzie,
I jeszcze troską niewstrzymany żadną,
W śmiałym się niegdyś rzuciłem zapędzie
Na drogę życia tak snadną.

Gdzież mię nie wzniosły wielkie przedsięwzięcia,
Do gwiazd najbledszych sięgałem zuchwały;
Granice świata, granice pojęcia
Ledwie mnie wstrzymać zdołały. —

Z chińskiego.

Zapomnij błędów bliźnich, gdy jesteś z bliźniemi,
A kiedy sam zostaniesz — rozmyślaj nad twemi.

Ktokolwiek z dobréj chwili nie korzysta,
W krótce na drodze znajdzie przeszkód trzysta.

Kto w pierwszym kroku na jeden włos zboczy,
Nim dojdzie celu, tysiąc mil odskoczy.

Porównanie.

Czem jest wino w naczyniu, tem klassy w narodzie:
Z wierzchu szum — wśrodku czystość — a drożdże na spodzie.

Z angielskiego.

Gonitwa za płonnemi świata marzeniami
Zaczyna się płochością, a zakończa łzami.

Na autora paszkwilów.

Dziwi cię to, oszczerco, że za podłą pracę,
Żądanem dowcipnego nazwiskiem nie płacę,
Tak działasz — boś do wyższych niezdolny jest rzeczy,
Żaba śpiewać nie umie — to przynajmniej skrzeczy.

Na S . . .

S . . . . chcąc zaciemnić Jagiełłów krainę,
Do tego stopnia światła nam zabronił,
Że nawet swoję błyszczącą łysinę,
Rudą peruką zasłonił.

Na K.

Jak ów Rzym szukający zkąd niegdyś pochodził.
Początek swego rodu z wilczycy wywodził;
Tak kiedyś i K........,. linja wysoka
Dójdzie aż do cielęcia, które struło smoka.

Nagrobek K. W.

Dzieciom, sługom, włościanom zarówno ojcował,
Wiązał ich łagodnością, słodyczą panował;
I całe życie przykład tych cnót dawał z siebie,
Co tak ciche na ziemi — a tak głośne w niebie.

Na Doktora.

Chcąc ci grzechu oszczędzić, twych lekarstw nie piję,
Lepiej, że mnie choroba niż doktor zabije.

Dwie podróże.

Młodzieńcze! dwie podróże czekają na ciebie,
Jedna z duszy w war świata — druga, powrót w siebie.

Miły ciężar.

Dziewięć miesięcy matka w łonie nosi dzicie,
Na ręku póki małe, w sercu — całe życie.

z Szyllera.

Czemuż Genijusz z Gustem tak się rzadko spoi?
Tamten gardzi wędzidłem, ten się mocy boi.

Na E.

Nudno mi, gdy z Elzunią siedzimy oboje,
Bo to, ani sam jestem — ani też we dwoje.

Nagrobek synowi jednorocznemu.

(z angielskiego.)

Nim z niewinności rozebrał się szaty,
Anioł go śmierci przytulił *do siebie;*
Wziął pączek róży — w górne uniósł światy
I kazał kwitnąć mu w niebie!

PRZYPISKI.

Przypiski do Wizyty w Sąsiedztwo.

1. *uczciwszy uszy:* każde słowo, nieco nieprzystojne, zawsze tem wyrażeniem poprzedzano.
2. *bez fałszu:* fałszem nazywano tylną część żupana, gdy z płótna, a nie z tej materyi, co żupan, robioną była.
3. *Słucki:* sławna fabryka pasów była w Słucku.
4. *Pektoralikiem* zwano mały zegarek złoty noszony na piersiach za kontuszem.
5. *Parangon:* dyament wesołej wody.
6. *Sylva rerum:* Wielu obywateli składało zbiory różnych pism, wierszy, mów, uniwersałów, listów tyczących się bieżącego lub bliskiego z przeszłości czasu i to nazywało się *sylva rerum.*

7. *Popiela:* W wielu bardzo częściach Polski słyszałem wyraz ten upowszechniony, ktory ztąd pochodził, że Stanisław August rozkazywał zawsze przy końcu objadu czwartkowego przynieść *Popiela*, co znaczyło starego węgrzyna, trącącego myszką.

8. *Manele:* naramienniki czyli bransoletki.

9. *Mitenki:* rodzaj rękawiczek.

10. *Lankotki:* szlarka do garnirowania sukien.

11. *Lewitka:* suknia roztworzona na przodzie, ktorą przeciągano przez otwory kieszonek.

12. *Agażanty z forbotem:* mankietki białogłowskie z koronkami.

13. *Balsamka:* puszka czyli jabłuszko na rozmaite wonie, tak małe, iż je za gorsem noszono. Za Jagiellonów zwano je baniecczką.

14. *Konsyderatka:* kieszeń w sukniach kobiecych; przywiązywano ją na sznurowkach za St. Augusta.

15. *Larendogra:* wódka lewandowa do trzeźwienia mdlejących. —

Kupiec: gra. Wspomina o niej Krasicki w Podstolim. Obszerniejszą wiadomość, co do tych szczegołów znajdzie czytelnik w Gołębiowskim

Przypiski do: Jako Pan Gadulski.

Boża wola: Czuć *Bożą wolą* do kogo, było to samo co kochać się w kim.

Dziewka: Dziewką każdą nazywano pannę.

Smalić cholewki, koperczaki stroić a nawet *aprsztyfikować się* znaczyło, co teraz — umizgać się.

Jezuity zwłaszcza się radził: W każdym zamożniejszym dworze był Jezuita, najczęściej członek rodziny, który był wyrocznią całego domu.

Luboń, lubonia — kochanek, kochanka — patrz Linde.

Rozebrać kura: każdy młodzian dobrze wychowany musiał umieć rozebrać pieczonego kuraka na powietrzu, a gdy zawstydzić go chciano o podsiedzenie kogoś godniejszego przy stole, kładziono wewnątrz kuraka szpikulce żelazne i wołano — *nie daj sie kurku!*

I sama piekła chleb dla ubóstwa: Na znak wielkiej ofiary religijnej — w czasie wyprawiania nabożeństwa za dusze rodziców, lub gdy pokutowało we dworze — Panie i Panny same piekły chleb dla ubóstwa. — Sam to przed 40 tą jeszcze laty widziałem.

Niedziołki nawet suszyła : Suszyć, być suchotami, było więcej niż pościć; nie jadano w dzień taki masła, mleka i najczęściej nic gotowanego. Suszono poniedziałki dla uproszenia u Boga dobrego męża: dziś tak chwalebny zwyczaj ledwie między niektoremi garderobianami pozostał. Nie tylko cały tydzień, ale i niedzielę suszyć, było tę zasługę do naywyzszego stopnia podnieść.

Przypiski do Listu pierwszego.

1) Zkądżeście to Klassycy

Czytelnik nie tchnący duchem żadnego stronnictwa literackiego, z łatwością pozna, że list *do Klassyków* tyczy się jedynie tych autorów lub nie autorów, którzy zamieniając się w krytyków, mylnem rozumowaniem przeszkadzają zbogaceniu literatury naszej; którzy chcieliby pole literatury chińskim murem obwarować, aby żadna nowość, żaden pomysł, żadna forma różniąca się od raz

przyjętych, przez niego przedrzeć się nie mogły, i którzy nakoniec wszystkie te narody, które pomimo głębokiej znajomości wzorów starożytnych i szczerego dla nich uszanowania, inną puściły się drogą, śmieją nazywać barbarzyńskiemi. — Do tych pisałem, o których w względzie literackim możnaby to powiedzieć, co Müller w swojej historyi mówi o uczonych średnich wieków: „Der Untergang der Wissenschaften kam nicht so wohl von den Barbaren, als von denen die sich Weise däuchten.“ Nie o prawdziwych więc Klassykach, lecz o fanatykach tej szkoły mówię i dlatego tyle się nad tem rozwodzę, ponieważ od niejakiego czasu, a zwłaszcza u nas, zawziętsi zwolennicy szkół obydwóch, tylu się nadużyciów w zdaniach swoich dopuścili, iż nazwiska *Klassyków i Romantyków* tylekroć niewłaściwie w ich sporach wspomniane, stały się niejako wyrazami nagany, oznaczającemi uczniów zaciekłych, przesądnych i duchem stronnictwa tchnących tak Klassyczności, jak i Romantyczności. — Znaczenie więc temczasowie przywiązane do tych nazwisk i mnie zmusiło do ich użycia. Po wytłumaczeniu rzeczy, nikt mnie zapewne posądzać nie będzie, ani o niewolnictwo

względem dawnych, ani o podzielanie mniemania niektórych romantyków naszych, utrzymujących, że w wieku, w którym oni zrodzili się i balladami nas cywilizują, niewarto już czytać, a tem bardziej uwielbiać pisarzy, którzy na imie Klassyków, w całem jego znaczeniu zasłużyli, i których w obecnym nawet czasie z chlubą dla kraju wskazaćby można. Pięknemi są zapewne i nigdy nie zwiędną wieńce młodocianego bluszczu, które przystroiły skronie Szyllera, Getego, Byrona; ale i te laury, które wzniosły się na chwałę Homera, Wirgilego, Horacego, jako otoczone hołdem tylu uczonych i dłuższym już nawet czasem utwierdzone, żadną przemijającą burzą zwalone być nie mogą. Zieloność ich jest nieśmiertelną. —

2) Nie znalazłszy go dawną, nową szukać drogą.

Trafnie młody poeta Deschamps, w przedmowie do dzieła swego powiedział: „Les grands Maîtres ont parcouru, en triomphe et jusqu'au

bout les routes qu'ils se sont ouvertes; on doit s'écarter de leur chemin autant par respect, que par prudence, et certes ce n'est point en cherchant à les imiter, qu'on parviendra jamais à les égaler. Un grand siècle litteraire n'est jamais la continuation d'un autre siècle.“ Tak i we Francyi przeciskają się już zdania, tchnące umiarkowaniem i wolne od przesądów. — Klassycy Polscy! Romantycy Polscy! kiedyż to u nas nastąpi? —

3) Bracia, trzeba śmiałości.

Wielu pisarzom naszym, którzy lekają się wszystkiego, co jest nowem i oryginalnem, śmiałości tylko niedostaje, talenta ich są znakomite, smak wykształcony, czemuż własnym siłom nie ufają, czemu są, jak te małe dzieci, które mogą już same chodzić, a jednak trwożnie chwytają się dłoni swych piastunek. Audendum est, fortes adjuvat ipse Deus.